NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 30 marca 1907. Nr. 13.

Potworna zbrodnia.

(Treść na stronie 2).



Serdeczne życzenia

Wesołych świąt!

zasyła swoim Współpracownikom i Czytelnikom

Redakcya.

OD ADMINISTRACYI.

Ponieważ z numerem niniejszym skończył się pierwszy kwartał wydawnictwa, przypominamy Szanownym P. T. Abonentom naszym, że

czas odnowić przedpłatę!

W tym celu załączamy do dzisiejszego numeru przekazy pocztowe dla Prenumeratorów galicyjskich.

Przedpłatę nadsyłać najlepiej wprost do naszej Administracyi centralnej pod adresem:

Kraków, ul, Zacisze 7.

a w Królestwie Polskiem do Biur G. Ungra w Warszawie: ul. Wierzbowa 8, lub al. Jerozolimska 78.

Kto nie nadeśle przedpłaty najpóźniej do 10. kwietnia, temu już nie wyślemy numeru 15 go.

Nowoprzystępujący prenumeratorzy otrzymają **bezpłatnie** początek drukującej się w „Nowościach Illustrowanych“ powieści **A. Gruszeckiego** pt.:

„Na wulkanie“.

Potworna zbrodnia.

(Do illustracyi tytułowej)

Przed tygodniem rozeszła się po Warszawie pogłoska, że bandyci i koniokrady, uprzedzając wyprawę, jaką gotowali na nich włościanie, napadli na jedną z wsi pod Tarczynem i wymordowali część mieszkańców. Pogłoska nie sprawdziła się w tem brzmieniu, okazało się natomiast, że rabusie wymordowali rodzinę młynarza Łażewskiego we wsi Szamoty. Oto szczegóły tej potwornej zbrodni: Wieczorem do zagrody Łażewskiego uważanego za bogacza i sknerę wpadło kilkunastu uzbrojonych ludzi z posmolonemi twarzami i zastawszy w izbie żonę młynarza 80 letnią staruszkę, ich córkę i syna 17-letniego, powalili te wszystkie osoby strzałami rewolwerowemi, poczem pobiegli do stojącego o kilkanaście kroków wiatraka i sprowadzili stamtąd starego Łażewskiego, nadto drugiego jego syna oraz trzech znajdujących się tam podówczas włościan. Związawszy wszystkich postronkami i lejcami, zbrodniarze poczęli się w straszny sposób znęcać nad nimi, wymagając wskazania miejsca, gdzie są pieniądze. Syna młynarza dobito ławą, staruszkę szpikowano wprost kulami, strzelając w ręce i nogi, jej córkę po licznych strzałach próbowano rozerwać za nogi, a gdy się to nie udało, oblano płynem z blaszanki, który wbrew przypuszczeniu zbrodniarzy okazał się wodą a nie naftą, skutkiem czego suknie oblane zapalić się nie dały. Stary młynarz pod wpływem męczarni wskazał ukryte w sienniku 40 rubli, lecz tak mała suma podwoiła wściekłość morderców. Uderzeniem polana dobili staruszkę, jej syn zaś i córka sami zmarli od bicia. Ze słabemi oznakami życia pozostawiono tylko drugiego syna i drugą córkę. Splądrowawszy cały dom, mordercy poukładali swoje ofiary w izbie na podłodze, nakryli pościelą i odjechali wozem, śpiewając wesoło przy blasku latarni. Pościg nie dał żadnych wyników.



Śmierć znakomitego chemika: Berthelot w swej pracowni.

Śmierć znakomitego chemika.

Obfite żniwo zbiera śmierć wśród uczonych chemików. Po Mendelejewie, Moissanie, Mienszutkinie, przyszła obecnie kolej na Berthelota, który tyle lat stanowił prawdziwą chlubę francuskiej nauki.

Piotr Berthelot był z rodu Paryżaninem, a urodził się w 1827 r. Już jako wybitny uczony, mianowany został w 1859 r. profesorem chemii organicznej przy wyższej szkole farmaceutycznej w swem mieście rodzinnem, a w sześć lat później utworzono dlań nową katedrę chemii w „Colège de France“. W r. 1861 nagrodę paryskiej Akademii w kwocie 3.000 fr. przyznano mu za badania nad syntezą ciał chemicznych, jakie znajdują się w organizmach żyjących. Taż Akademia wybrała Berthelota swym stałym sekretarzem, którą to godność piastował aż do końca życia. W r. 1870 brał czynny udział w obronie Paryża, fabrykując działa oraz rozmaite materye wybuchowe, mogące służyć oblężonym do obrony.

Aczkolwiek Berthelot, typ prawdziwego uczonego, nie zamierzał wcale brać udziału w życiu politycznem, zaufaniem jednak obywateli został doń powołany i był naprzód członkiem Izby deputowanych, a następnie Senatu. Dwa razy był ministrem: raz oświaty, a następnie spraw wewnętrznych; oprócz tego zaś spełniał funkcye inspektora wszystkich wyższych zakładów naukowych.

Bez względu na tak liczne zajęcia nie ustawał Berthelot w pracach naukowych. Pierwszorzędne zasługi położył on około zbadania syntezy alkoholi i bezwodników węglowych, na czem zyskał bardzo przemysł chemiczny, a dalej poczynił ważne odkrycia na polu materyałów wybuchowych i stworzył zasady termochemii. Jako filozof chemik, był zwolennikiem syntezy i rozwijał teorye genialnego Mendelejewa.

Berthelot, człowiek osobiście bardzo ceniony dla wysokich zalet swego charakteru, żył w najszczęśliwszem małżeństwie z żoną, którą pojął



Fot. J. Gargul, Bochnia.

Z życia »Sokoła« w Bochni: Członkowie chóru sokolego.

przed przeszło pięćdziesięciu laty. Małżonka jego już od lat paru cierpiała na serce, a Berthelot otaczał ją najczulszą opieką. Przed bardzo niedawnym czasem oświadczył on jednemu ze swych sześciorga dzieci, że nie przeżyje śmierci ich matki...

I tak się stało. Gdy Berthelot przed kilku dniami powrócił do domu i dowiedział się z ust syna, że matka właśnie zakończyła życie, padł rażony apopleksyą.

Pragnąc uczcić znakomitego uczonego i współobywatela, postanowiła Izba deputowanych pochować go wraz z małżonką w Panteonie, gdzie spoczywają już zwłoki tylu znakomitych Francuzów.

Z życia Sokoła w Bochni.

W niewielu galicyjskich miastach napotkać można tyle Towarzystw co w Bochni. Oprócz Sokoła egzystuje tradycyjne Kasyno, „Ojczyzna“, „Praca“, Tow. Oświaty ludowej, „Znicz“. W takich warunkach o podniesieniu się jednego Towarzystwa mowy być nie może, gdyż każde z nich dążąc do właściwego, sobie wytkniętego celu, posuwa się naprzód z uszczerbkiem dla Towarzystwa drugiego, absorbując dochody, siły, rozluźniając węzły spójni itd. itd.

Tak się też rzecz miała i z Towarzystwem gimnastyczno-strzeleckiem Sokół w Bochni, które dla wykonania wieczorku Kościuszkowskiego lub innego jakiegoś patryotycznego obchodu, zapożyczać się musiało u muzyki salinarnej, chóru gimnazyalnego itp., gdyż w łonie samego Towarzystwa gimnastyczno-strzeleckiego Sokół, nie można było wskutek wewnętrznych waśni, niechęci i zobojętnienia założyć chóru sokolego, a tem samem wykonać wieczorek własnemi siłami.

Złemu temu zapobiegł p. Ferdynand Oth, przez energiczne zajęcie się utworzeniem chóru sokolego przy pomocy pp. Mieczysława Nigrina (dyrygenta obecnego) i Stanisława Głuzińskiego (prezesa chóru), który życie towarzyskie w łonie Sokoła rozbudził. Gdy obecnie wskutek przeniesienia się p. Ferdynanda Otha z Bochni, myśl pożegnania go podjętą została, pospieszyli wszyscy druhowie do atelier p. Gargula, dla zdjęcia wspólnej grupy, jako miłej pamiątki chwil razem spędzonych.

Po zawaleniu się Dumy.

Zawalenie się części sufitu, nad salą posiedzeń Dumy w pałacu Taurydzkim, daje miarę prawdziwie rosyjskiej gospodarki. Przecież już w roku 1905 wydano na remont tej części pałacu, która przeznaczoną została na cele parlamentu, przeszło milion rubli, a odnośnemi pracami kierowała techniczna powaga, nadworny architekt Bruni. Nic to nie pomogło, skoro pewnego pięknego poranku pułap runął, niby domek z kart, stawiany przez dzieci.

Jeżeli w tym wypadku nie było złej woli — to było bezprzykładne niedbalstwo, z jakiem tylko w Rosyi można się spotkać.

Jedna z naszych rycin przedstawia pracę dokonywaną przez pionierów w liczbie 600 ludzi nad restauracyą uszkodzonej sali. Pośrodku żołnierzy stoi ów architekt Bruni, któremu przypisywaną jest główna wina katastrofy, co mogła się była przy innych okolicznościach bardzo smutno zakończyć.

Na drugiej zaś, przedstawione jest posiedzenie Dumy, jakie odbyło się 18 b. m., t. j. w dwa dni po katastrofie, w sali „Klubu szlacheckiego“. Jestto mianowicie chwila, gdy prezydent ministrów, Stołypin odczytuje swoją słynną deklaracyę, po której rząd tak wiele się spodziewał, a która z taką nieufnością została przyjętą przez większość Dumy.

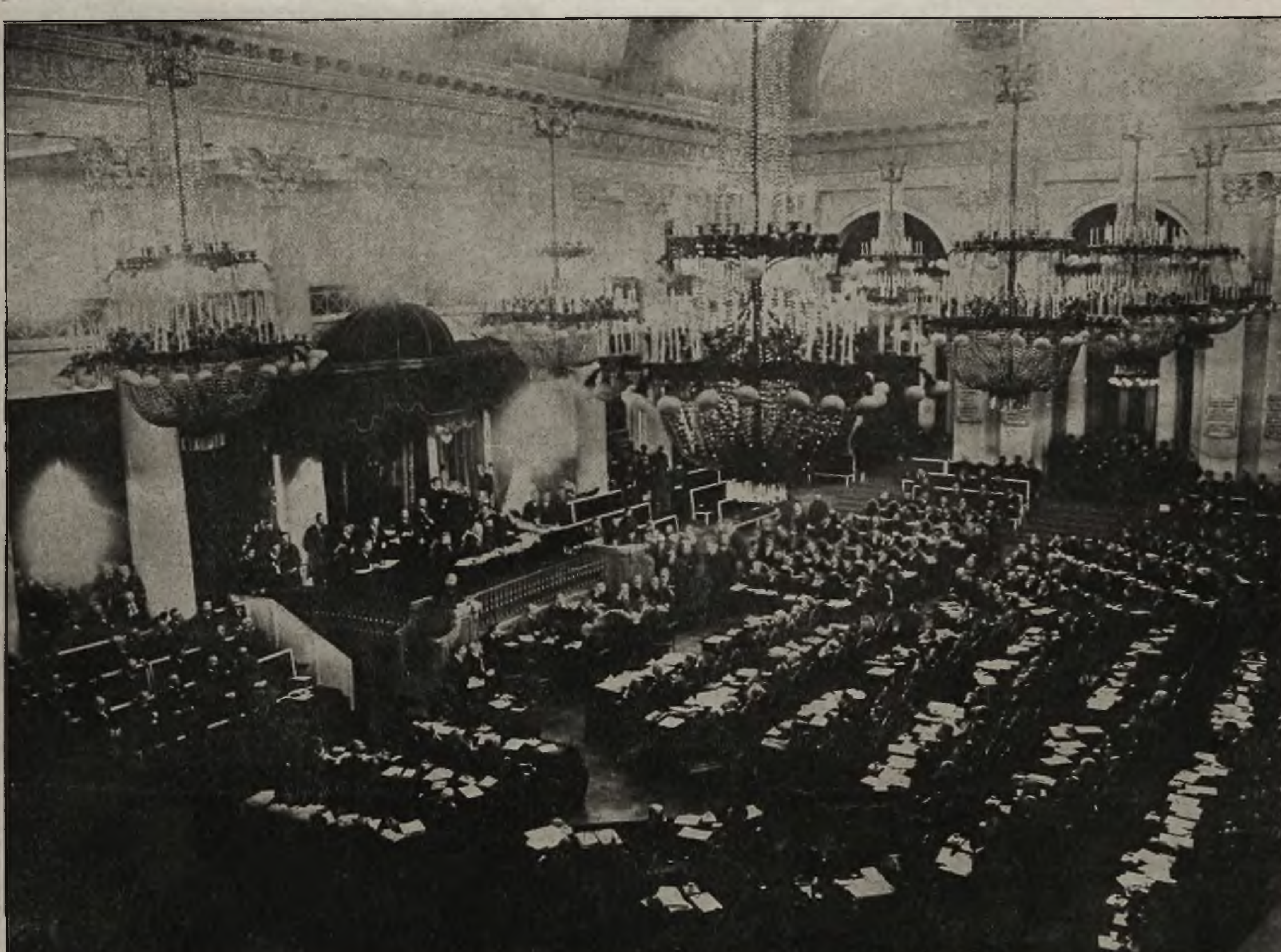
Naprawa uszkodzonej sali trwała niecały tydzień, tak, że już dnia 25 b. m. mogła Duma odbyć posiedzenie w pałacu Taurydzkim. Jak długo jednak będzie ona obradowała? — to pytanie, na które dziś nikt nie może dać odpowiedzi.



Smierć znakomitego chemika: Berthelot w swem mieszkaniu wraz z ukochaną żoną, której straty nie przeżył.

Fantastyczny pomysł złodzieja.

Na pomysł jakgdyby zaczerpnięty z fantastycznych powieści i nowel Conan Doylea o „Sherlocku Holmesie“ wpadł we Lwowie młody służący w domu dra Henryka Mikolascha. Pomysłem tym swoim, dość sprytnie wykonanym, sprawił on dużo



Fot. A. Drankow w Petersburgu.

Po zawaleniu się Dumy: Po katastrofie w pałacu Taurydzkim, posłowie obradnją chwilowo w sali »Klubu Szlacheckiego«.

kłopotu policyi a w mieście wywołał wielką panikę. Panika, jaka na wieść o owym wypadku powstała wśród mieszkańców Lwowa, jest zupełnie zrozumiałą. Bo oto głosiły dzienniki, że w niedzielę wieczorem, w czasie kiedy ruch jest duży, w samem centrum stolicy kraju, w pasażu Mikolaschów, napadli bandyci na mieszkanie współwłaściciela pasażu, dra Mikolascha, a zastawszy tam jedynie służącego 20 letniego chłopaka Floryana Łatkę, ubezwładnili go, ciężko pokaleczyli a następnie zrabowali przeszło 1000 kor. i zostawiwszy bezprzytomnego i skrępowanego sługę na łaskę Opatrzności, ulotnili się bez śladu. Tego rodzaju wiadomość musiała chyba wywołać niepokój wśród mieszkańców Lwowa, jeżeliby bowiem była prawdziwą — a wówczas nikt o prawdzie doniesień nie wątpił — świadczyłaby o fatalnych stosunkach bezpieczeństwa publicznego w mieście.

Na szczęście obawy te nie długo trwały. Śledztwo bowiem, przeprowadzone z energią przez policyę lwowską, wykazało dowodnie, że cały ów napad bandycki był fikcyą, że służący p. Mikolascha chcąc w łatwy sposób dojść do pieniędzy potrzebnych mu na drogę do Kanady — zmyślił dowcipnie całą historyę, sam się skrępował sznurem, zadrasnąwszy się wprzód lekko kuchennym nożem a ukradzione na szkodę swego służbodawcy pieniądze ukrył w bezpiecznem miejscu.

Mimo oczywistych dowodów winy, zebranych przez policyę, Łatka do ostatniej chwili nie stracił fantazyi a zeznania swe zmienił tylko w pewnym kierunku. Zeznał mianowicie ostatecznie, iż choć jest niewinny, całą odpowiedzialność bierze na siebie, a na podstawie objawienia Matki Boskiej wskazał miejsce, gdzie pieniądze były ukryte. Wszystko to jednak nie pomogło dowcipnemu służącemu i policya odstawiła go do sądu karnego, gdzie będzie odpowiadał za pospolitą kradzież.

Nawet w sądzie karnym, pomimo, iż Łatka zwrócił pieniądze skradzione, nie chce on w żaden sposób przyznać się do winy, twierdząc stale, że kradzieży dopuścił się ktoś inny, ale ktoś taki, czyjego nazwiska wskazać nie może, bo „zakazała mu Matka Boska". Wpadł bowiem Łatka na po mysł, że najlepiej wobec konkretnych dowodów jego winy, udawać obłąkanego. Oto, jak powiada, dowiedziawszy się, że prócz niego aresztowano jeszcze kogoś, nie chciał, żeby niewinnie cierpieli, więc modlił się gorąco, aż po trzech dniach objawiła mu się Matka Boska, wyjawiła mu, gdzie są pieniądze skradzione, lecz zakazała mu wskazywać winowajców, a pozwoliła tylko powiedzieć, iż skradł je „jeden z pasażu".



Fantastyczny pomysł złodzieja: Floryan Łatka, sprawca kradzieży u dra Mikolascha we Lwowie.

Łatka trzyma się tedy ściśle tej instrukcyi z nieba i nie chce wyjawić nazwiska złodzieja, którym jest on sam właśnie.

Podobiznę pomysłowego służącego zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Wiec mieszczański we Lwowie.

(Do ilustracyi na stronie 13).

Jednym z etapów na drodze organizacyi mieszczaństwa polskiego w Galicyi, organizacyi zapoczątkowanej przez „Związek samoistnych rękodzielników, kupców i przemysłowców", był wiec mieszczański, który odbył się w ubiegłą niedzielę we Lwowie. Prócz bardzo wielu mieszczan lwowskich, wzięło w nim udział 100 delegatów prowincyi. Przybyli nadto najwyżsi dygnitarze kraju, namiestnik i marszałek.

Wiec niedzielny obradował nad całym szeregiem spraw bardzo żywotnych, dotyczących organizacyi i przyszłości drobnego przemysłu. Między tematami obrad była sprawa organizacyi kół miejscowych mieszczańskich w całym kraju, dalej sprawa ubezpieczenia na starość rękodzielników, kupców i przemysłowców, reprezentacyi mieszczaństwa we wszystkich ciałach ustawodawczych itd. Nad referatami, wygłoszonemi przez wybitnych przemysłowców lwowskich, toczyła się dyskusya, w której zabierali głos także posłowie, obecni na wiecu.

Rezolucye powzięte w wymienionych powyżej sprawach, uderzają jasnością i świadomością celu, do jakiego mieszczaństwo dąży. Jeżeli wykonaniu ich towarzyszyć będzie ten sam zapał, ta sama energia, jaka widoczną była podczas wiecu, to nie można wątpić, iż wiec mieszczański będzie doniosłym krokiem naprzód, w kierunku podniesienia polskiego mieszczaństwa i jego postępu.

Zdjęcie fotograficzne przedstawiające grupę uczestników niedzielnego wiecu, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Po zawaleniu się Dumy: Odnawianie sali posiedzeń w pałacu Taurydzkim; wśród pionierów stoi architekt Bruni (X), którego niedbalstwu przypisują katastrofę.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

16 Ciąg dalszy.

A to tembardziej, że żadne prośby, protekcye, łapówki nie zdołały go zachwiać w pełnieniu obowiązków służbowych.

Kawaler, około czterdziestu lat, uchodził w kole swych znajomych za wykwintnego estetę. Zawsze nienagannie ubrany, z twarzą smagłą, brunet z małym wąsikiem, szczupły, zgrabny, miał znaczne powodzenie u kobiet i one jedne i jedyne były słabą stroną jego charakteru tak urzędowego, jak i prywatnego.

Była godzina popołudniowa i Paweł Pawłowicz rozparty w wygodnym fotelu przed biurkiem, przeglądał papiery urzędowe, które były potrzebne na dzisiejsze wieczorne posiedzenie. Były to raporta ochrany, żandarmów, policyi o ruchu rewolucyjnym i o następstwach zarządzonych represyjnych środków. Z miną znudzoną i kwaśną rzucał na biurko raport po raporcie i mruknął:

— Wsio miełocz... pustiaki...

Mimowolnie rzucił okiem przez otwarte okno na przeciwległą kamienicę i przyzwyczajony do zamkniętych okien, spuszczonych rolet, ujrzał teraz otwarte okna i snujące się po mieszkaniu kobiety, widocznie zajęte urządzaniem pokoi. To go zaciekawiło, tem bardziej, że kobiety były zgrabne, młode i o ile mógł dojrzeć, ładne.

Nie wstając z fotelu, sięgnął po lornetkę, leżącą na biurku i zaczął patrzeć. Na twarzy trochę zmęczonej i pożółkłej, zjawił się drobny uśmiech zadowolenia. Istotnie te kobiety były ładne, wesołe, a ruchy ich miały dużo wdzięku i harmonii.

Po chwili nacisnął guzik dzwonka elektrycznego i do wchodzącego lokaja rzekł po rosyjsku:

— W kamienicy naprzeciw na pierwszem piętrze — wskazał ręką — ktoś się wprowadził. Pójdziesz do stróża lub rządcy, dowiesz się imię, nazwisko, imię ojca, co za jedni, skąd, ile płacą, zapiszesz to sobie i wracaj natychmiast.

Lokaj ukłonił się i zniknął za drzwiami.

Paweł Pawłowicz spojrzał znów przez lornetkę, a nie widząc nikogo, wstał z fotelu, przeciągnął się i włożywszy ręce w kieszenie, zaczął przechadzać się po gabinecie, przystając czasem to przed obrazkami nagich i półnagich kobiet w różnych zmysłowych pozach, to znów zaglądał w okna przeciwległe i nagle pospiesznie podszedł do biurka, pochwycił lornetkę i przyłożył ją do oczu.

W oknie ustawiała kwiaty Logika a podawała je Wanda.

Logika w lecintkiej bluzce, po przez którą rysowały się wyraźnie jej kształty, z uśmiechem na zarózowionej ze zmęczenia twarzy, z pysznemi włosami, które wymknąwszy się z fryzury, niejy w ruchomą ramkę twarz rozweseloną, wyglądała prześlicznie. Od czasu do czasu nachylała się nad kwiatem rozwiniętym, rozkoszowała się zapachem i białą, delikatną ręką prostowała liście i gałązki.

Chwilami Logika cofała się w głąb pokoju, a przy oknie stawała Wanda, a żywe jej ruchy, błyszczące oczy, wytworne kształty i rysy twarzy wrażliwe, rozbawione, zdradzały olbrzymi zasób energii życia i młodości, że trochę przeżyty Paweł Pawłowicz promieniał z radości na myśl uścisku i pocałunku tej dziewczyny.

Sam nie wiedział, która z nich podobała mu się bardziej i jedna i druga były na równi pożądane. Wiedział, że był przystojny, wpływowy i dość zamożny, nie wątpił, że zdobędzie, jeśli nie serce, które tak dalece w grę nigdy nie wchodziło u niego, to w każdym razie pożądane względy.

Obie kobiety zniknęły w głębi pokoju, wysłany lokaj nie wracał, więc trochę z nudów, trochę z przyzwyczajenia podszedł do wielkiego, wiszącego lustra i zrobił szczegółowy przegląd swej postaci.

Kąty czoła zbyt głębokie zakrył starannie, rozczesując na boki przerzedzone włosy ciemienia, wąsiki podkręcił w górę, aby odsłonić dość jeszcze świeże wargi, poprawił gniazdko modnej kracze watki i znów przeszedł się po pokoju, rzuciwszy okiem przez drzwi do przyległej sypialni. Nad szerokiem łóżkiem wisiał tam obraz przedstawiający nagą, leżącą kobietę, która leniwym ruchem przesypywała złote monety, leżące stosami na dywanie.

Wszedł lokaj i opowiedziawszy o swych staraniach, podał kartkę z nazwiskami. Paweł Pawłowicz czytał półgłosem:

— Ewa Ogniewska, córka Bronisława, panna, lat 20... Wanda Balkowska, córka Zygmunta, panna, lat 18..

Zastanowił się przez chwilę, która z nich jest Ewą a która Wandą? Obie były szatynki, różniły się tylko odcieniem, a koloru oczu zbyt dokładnie nie dojrzał, wiedział tylko, iż były ładne i błyszczące.

Dojrzawszy poprzednie ich mieszkania, przystąpił do telefonu i połączywszy się z kancelaryą komisarza odpowiedniego cyrkułu, spytał najpierw o Ogniewską.

Otrzymał odpowiedź po chwili, że mieszkała w tym cyrkule, utrzymywała się z własnych funduszów, a politycznie nie była notowana.

Z cyrkułu łazienkowskiego dowiedział się, że Wanda mieszkała czas krótki u pani Kulińskiej; przyjechała ze wsi.

— Nigdy nic nie wiedzą — mruknął zniechęcony, jednak po chwili głębszego zastanowienia przypomniał sobie, że nazwisko Kulińska nie jest mu obce.

Wreszcie stwierdził z przyjemnością siłę swej pamięci, że Kulińska jest matką urzędnika ministerstwa. Balkowska więc jest albo znajomą, a może kuzynką Kulińskiej, gdyby jednak była krewną, mieszkałaby u niej, a nie przeprowadzałaby się tutaj.

W przedpokoju zabrzmiał dzwonek i po chwili lokaj wręczył mu bilet, na którym było napisane: Iwan Iwanowicz von Plessen, podpułkownik żandarmeryi.

— Proś.

Do gabinetu wszedł szpakowaty blondyn, z przydługą twarzą, z wąsami w górę podkręconemi, w mundurze błyszczącym nowością. Witali się jak dwaj dawni znajomi a zapaliwszy papierosy usiedli na fotelach w głębi pokoju, ale tak, że mogli widzieć przeciwległe okna.

— Jest co nowego u was Iwanie Iwanowiczu? — spytał gospodarz.

— Nowego, jak nowego — wzruszył ramionami — jest to zwykły rozwój rewolucyjny. Gdy zaopatrzyli się w pieniądze z naszych kas rządowych i sklepów monopolowych, zabierają się teraz do nas

— Jakto?... Nie rozumiem dobrze — patrzał badawczo w twarz podpułkownika.

— Nie otrzymaliście listu z pieczęcią czerwoną? — zdziwił się.

— Nie.

— Więc prawdopodobnie otrzymacie — uśmiechnął się — i muszę przyznać, że ci polscy socyaliści są lepiej wychowani aniżeli nasi, ruscy. Najpierw wysłali seryę listów z groźbą śmierci, jeśli dana osobistość nie zmieni swego postępowania lub nie usunie się z kraju... teraz przyszła lub przyjdzie kolej na listy z wyrokami śmierci.

— I wy Iwanie Iwanowiczu mówicie to tak spokojnie!? — obruszył się Paweł Pawłowicz — przecież na taką anarchię nie możemy pozwolić.

— Czyż oni pytają o pozwolenie? — uśmiechnął się drwiąco — a papier cierpliwy i poczta funkcyonuje.

— I skończy się na listach, nieprawdaż?

— Hm... nie wiem. Jak wiecie Pawle Pawłowiczu, kilkunastu niższych czynów z policyi i żandarmeryi, spełniających gorliwie swe obowiązki zabito, a sprawcy uciekli.

— To wada policyi... nie czuwają należycie, nie dozorują.

— I zawsze sprawcy uciekną — rzekł podpułkownik z naciskiem — bo przeciw nam jest cała ludność kraju.

— Dawniej jednak tego nie było — westchnął Paweł Pawłowicz.

— Bo nie było wojny japońskiej — mówił z goryczą podpułkownik — bo nie było Mirskiego, Bułygina, nie było wahań, nie było obiecanek... ale nie o tem miałem mówić.

— Słucham was.

— Przed kilkoma dniami zrabowano w kopalni skład dynamitu i tylko małą część udało nam się odszukać na kolei w Warszawie, reszta jest na miejscu do fabrykacyi bomb... trzeba więc wzmocnić ochronę osób wysoko postawionych i należy im unikać ulic ludniejszych.

— Możecie to przecież sami powiedzieć na dzisiejszem posiedzeniu.

— Zależało mi na tem, abyście poparli tę sprawę. Zamach skuteczny na wysoką osobę tylko rozzuchwali czerwonych.

— Rozumiem... A kto przychwycił część dynamitu?

— Cieslarewskoj, wyborny wyżeł.

— Znam go... to taki niepozorny człowiek... był raz potrzebny przy przejeździe wysokiej osobistości.

— Tak, tak... on zżył się z Polakami i jeśli nie przewidzi, to przewęszy każdą ich chytrość... Co robicie po posiedzeniu? Czy macie już plan jaki?

— Nie myślałem o tem — i rzucił okiem na przeciwległe okna.

— Hm... a może u was jaka ptaszka? — śmiał się — bo wy Pawle Pawłowiczu na te rzeczy łasy, jak kot na myszy.

— Nie w tych czasach Iwanie Iwanowiczu... teraz roboty mnóstwo — wskazał na biurko, założone papierami.

— Robota robotą, a człowiek potrzebuje odetchnąć, zabawić się... Czy macie co nowego? Wy Pawle Pawłowiczu znani jesteście, że kochacie się w nowości.

— Może dawniej — uśmiechnął się mile pogłaskany — ale człowiek się starzeje — znów zerknął w okno, w którem stanęły Logika i Wanda spinające firanki.

Logika stała na krześle i widoczną była cała jej postać, a przy przeginaniu uwidoczniały się kontury jej sprężystego ciała.

Podpułkownik poszedł za oczyma gospodarza, a widząc naprzeciw dwie kobiety, zaśmiał się mówiąc:

— Otóż i nowe sitka Pawle Pawłowiczu... no i ładne obie... winszuję wam gustu.

— Dajcież spokój — uśmiechał się — to świeże sąsiadki, wczoraj się sprowadziły.

— Jeśli nie należą do was, to wolno im się przypatrzeć.

— Wasza wola, lornetka na biurku.

Podpułkownik patrzał przez dłuższą chwilę, a odkładając lornetkę, dodał:

— Obie ładne, młode i jak to nasi mówią, łanie, nie kobiety.

— No tak, ale to Polki.

— Cóż to przeszkadza — zaśmiał się — dziś przecie konstytucya, wolność wyznań... Wiecie może Pawle Pawłowiczu, co za jedne?

— Mam gdzieś ich nazwiska — poszukał kartki i podał.

— To tylko nazwiska — rzekł lekceważąco podpułkownik — zasięgaliście informacyj?

— Pytałem w policyi...

— I nic nie wiedzą jak zwykle — drwił — a nie ciekawiście byli co w ochranie, albo u nas?

— Nie pytałem, lecz gdybyście byli tak dobrzy Iwanie Iwanowiczu...

— Telefonuję — wstał podpułkownik i przystąpił do aparatu.

Paweł Pawłowicz przeszedł do sypialnego pokoju, aby się przebrać, a gdy wyświeżony, uperfumowany wrócił, podpułkownik zapalając papierosa, mówił:

— Nic stanowczego nie mogę wam powiedzieć o nich. Jedna z nich, Ogniewska jest na oku, zachodzili do niej ludzie niepewni; o drugiej, Balkowskiej, nic nie wiadomo.

— To nie wiele — uśmiechnął się drwiąco.

— A mojem zdaniem bardzo wiele i sądziłem Pawle Pawłowiczu, że macie w ręku łatwą grę. Zważcie tylko, u jednej z nich bywali niepewni ludzie, jeśli dawniej odwiedzali, to i będą odwiedzali teraz. Wymiarkować kto, pochwycić nitkę... a nie potrzebuję was uczyć, jak dojść do kłębka — śmiał się.

— Ach tyle zachodu, pracy, czasu... czy to warte?

— A to już wasza rzecz. Chciałem wam tylko dowieść, że co innego ochrana a co innego policya — spojrzał na zegarek — idziemy, na nas już czas.

Rada miała się odbyć w prywatnem mieszkaniu generała Czerniejewa, tam też udali się obaj dorożką.

Weszli do gabinetu obszernego z dwoma oknami, umeblowanego surowo, niemal po żołniersku. Prócz jednego szezlonga skórą obitego reszta mebli była dębowa. Na ścianie portret panującego cesarza i jego żony, na biurku fotografia żony i dwojga dzieci.

Paweł Pawłowicz, korzystając z nieobecności generała, porządkował swe papiery na bocznym stoliku.

Znów otworzyły się drzwi, wszedł generał Tiszew, komenderujący załogą miasta, człowiek siwy z czerstwą twarzą, niski, przysadkowaty, a za nim pułkownik dragonów, wysoki brunet, z głęboką szramą na lewym policzku, naczelnik miejscowej ochrany.

Przywitali się, rozmawiając półgłosem o nowinach dnia.

Drzwi otwarły się szeroko i na progu stanął generał Czerniejew spojrzał po obecnych, pozdrowił i przywitał podaniem ręki. Siadł przy biurku, zwrócony tyłem do okien i wskazując na krzesła, rzekł:

— Siadajcie panowie.

Na jego zimnej, jakby wyciosanej z kamienia twarzy, nie było widać żadnych uczuć, wrażeń, których doznawał, a szare oczy z pod brwi krzaczastych patrzały surowo i przenikliwie.

Jedną rękę położył na biurku, drugą przygładził wąs szpakowaty i rzekł równym, czystym głosem:

— Powołałem panów w sprawie ważnej, nie potrzebuję dodawać, że jest to tajemnica państwowa. Otrzymałem depeszę, że socyaliści rewolucyjni mają zamiar wywołać zbrojne powstanie przeciw istniejącemu porządkowi państwowemu Czy który z panów wie o tem coś bliższego?

Wezwani popatrzeli na siebie, a pułkownik dragonów Krasotin odpowiedział cichym, lecz wyraźnym głosem:

— Odezwę tę czytałem, więcej tam frazesów, aniżeli myśli. Nie przywiązuję większej wagi do tego rodzaju manifestów. Kilka burd ulicznych stłumi policya i koniec.

Czerniejew spojrzał obojętnie na mówiącego, i po chwili mówił dalej:

— W innem świetle przedstawi się panom ta odezwa, gdy doda się, iż propaganda ich zbrodnicza szerzy się w wojsku. Niebezpieczeństwo rozruchów rewolucyjnych jest rzeczą podrzędną, idzie o wojsko. Czy nie macie jakich danych w tym kierunku?

— Za moją brygadę odpowiadam głową — zawołał generał Tiszew.

— Czy wiadomości dotyczące ruchu rewolucyjnego i usposobienia wojska dotyczą tutejszego kraju? — spytał podpułkownik von Plessen.

— Na co ta wiadomość? — spytał Czerniejew.

— Jeśli idzie o uspokojenie tego kraju, to w interesie rządu i państwa należy mojem zdaniem tylko życzyć sobie, aby ruch rewolucyjny objawił się wystąpieniem czynnem, masowem... Utopimy go w jego własnej krwi i nastanie spokój.

— Wiadomości, o których wspomniałem, dotyczą niestety naszej ojczyzny — mówił spokojnie Czerniejew — tam szerzą tę zarazę cudzoziemcy i żydzi, a dobroduszny nasz naród im wierzy. Sądziłem jednak, że i tu gotuje się coś podobnego...

— Na razie niema jeszcze — rzekł Gołubiew bawiąc się piórem — ale może być przy sprzyjających okolicznościach.

— Nie wywołujmy wilka z lasu — rzekł Czerniejew — i liczmy się z faktami. Naszem dążeniem powinno być zgnieść każdy ruch, każde pokuszenie się zaburzenia porządku prawnego w samym zarodku i to szczególniej zalecam panom... Do policyi wygotuje pan — zwrócił się do Gołubiewa — stosowny rozkaz.

Sekretarz z ułożonej pliki papierów przy wzmiance o policyi, wyjął arkusz wzdłuż złożony i głosem pełnym uszanowania odrzekł:

— Wasza ekscelencya raczy zwrócić uwagę na raport naczelnika policyi, dotyczący tej sprawy...

— Cóż on pisze?

— Z powodu kilkunastu morderstw tak żołnierzy policyjnych jak i rewirowych, spełnionych przez nieujętych zbójów, znaczna liczba tak rewirowych, jak i stójkowych, zażądała uwolnienia ze służby, tak, że niektóre części miasta będą musiały być ogołocone z policyi. Również donosi, że więzienia cyrkułowe są przepełnione.

Czerniejew, słuchając, zmarszczył brwi, a twarz jego i tak surowa, wyrażała teraz upór i bezwzględność.

— Telefonuj pan do naczelnika, niech w skok przyjeżdża.

Gołubiew pospieszył do telefonu, a generał zwracając się do siedzących, spytał:

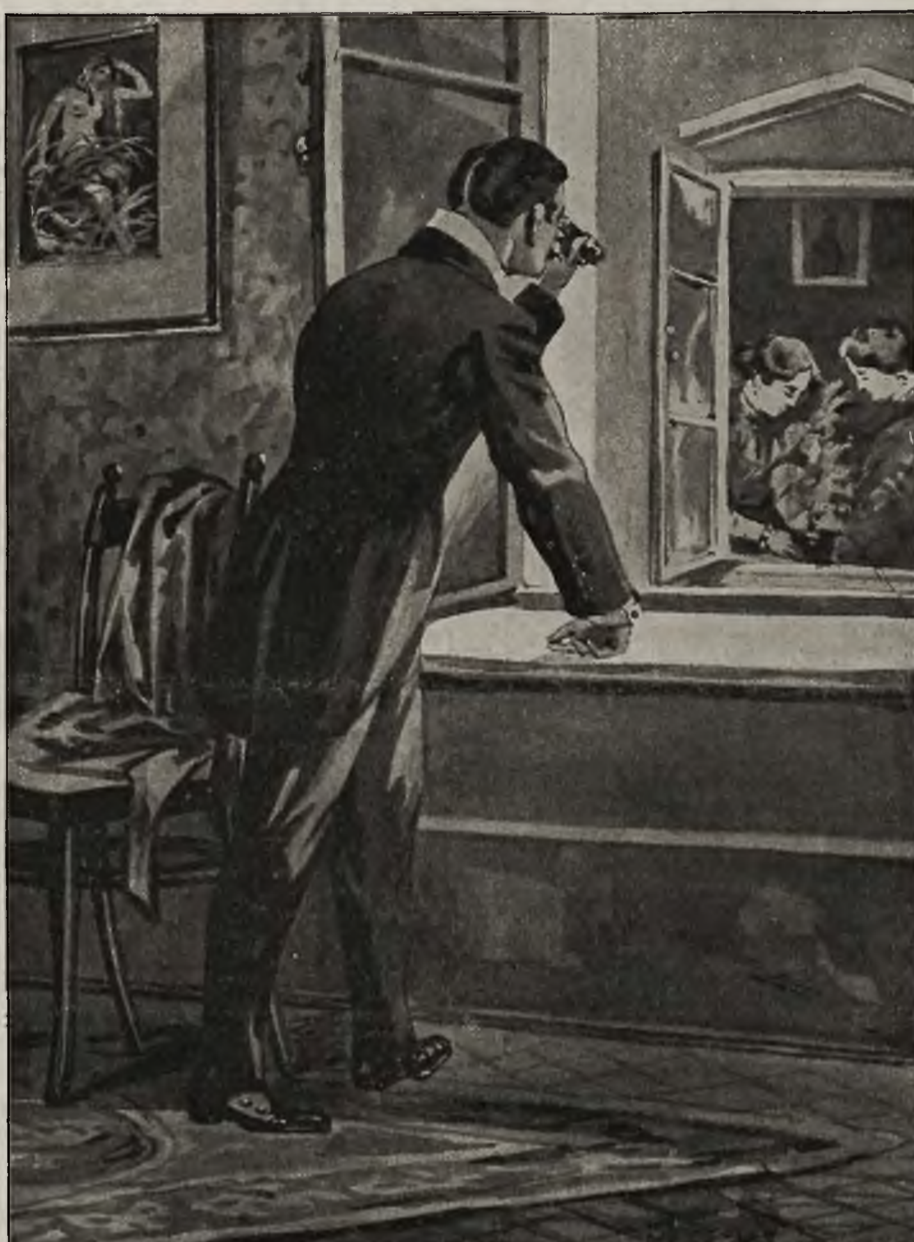
— Czy macie co nowego?

— Zależy mi bardzo na tem — przemówił von Plessen — aby wasza ekscelencya zaleciła wszystkim wybitniejszym osobistościom wielką ostrożność; przewiduję zamachy. Należałoby też powiększyć ilość ajentów i dodać dla bezpieczeństwa osób. Wogóle im mniej będą się pokazywały, tem lepiej dla nich.

— Czy pan rozumie swoje słowa? — spytał zjadliwym tonem Czerniejew — zatem pan, żołnierz, proponujesz, abyśmy się chowali jak lisy po norach, bo szczury rewolucyjne chcą rządzić — uśmiechnął się wzgardliwie - jeśli pan o siebie się boi, cóż mają robić podwładni?

Podpułkownik lekko pobladł, przygryzł usta, zdusił gniew w sobie i po dobrej chwili odpowiedział:

— Wiem, że dużo osób urzędowych, odznaczających się gorliwą służbą państwową, ma już doręczone wyroki śmierci. Rewolucyoniści posiadają broń, zrabowali dynamit. Jeśli im się powiedzie kilka zamachów, nikt z nas nie będzie pewny życia. Muszę też zaznaczyć, że zabójstwo znaczniejszego działacza państwowego ośmieli rewolucyonistów, a rzuci popłoch pomiędzy niższe czyny i funkcyonowanie maszyny państwowej nie będzie ani sprężyste ani silne.



Pochwycił lornetkę i przyłożył ją do oczu.... W oknie ustawiała kwiaty Logika, a podawała je Wanda.

— Cóż panowie na to? — spytał Czerniejew.

— Jestem tego samego zdania, co podpułkownik von Plessen — rzekł Krasotin

— Ja sądzę — mówił generał Tiszew — że niegodną nas jest obawa i otaczanie się szpiegami, ajentami, kozakami... Zginie kto ze znaczniejszych, wysłać na miejsce żołnierzy, otworzyć ogień rotowy po ulicach i odechce im się zamachów na przyszłość.

— Pozwoli pan generał — zaczął bardzo grzecznie Gołubiew — zwrócić swą uwagę na jeden fakt, iż na ulicach miasta znajdują się nie sami tylko Polacy, ale i my ruscy, nasze żony i dzieci a kule są ślepe. Tego rodzaju środek mógłby być użyty, ale z wielką ostrożnością w dzielnicach żydowskich, robotniczych, ale nie w środku miasta...

Generał Tiszew, który był wdowcem, a dzieci miał w Moskwie, niezadowolony z krytyki, rzekł szorstko:

— Baby niech siedzą w domu, a dzieci w szkole; zresztą można poufnie ostrzedz naszych, aby po zamachu nie pokazywali się na ulicy.

— Od naszych dowiedzą się Polacy i zaraz znikną z ulic, więc skutek byłby chybiony — dorzucił Krasotin.

— Tak generale — skinął głową Czerniejew — jest to sposób surowy, może i użyjemy go kiedyś, ale na razie wysyłaj pan gęste patrole piesze i konne; postawa ich powinna być surowa i groźna, ale niech unikają rozmyślnego drażnienia ludności. Ona powinna się bać i drżeć o swe życie, strzelać do ludzi tylko przy wyraźnem zuchwalstwie i nieposłuszeństwie.

— Rozumiem... mój sposób uspokoiłby jednak na pewno Warszawę.

Służący zameldował naczelnika policyi.

Był to człowiek niemłody, lat około pięćdziesięciu, zgrabny w swym galowym mundurze, z licznemi orderami, z twarzą zawsze gotową do łaskawego półuśmiechu, z przymrużonemi oczyma, z monoklem założonym na guzik mundurowy.

— Znam raport pana — rzekł Czerniejew — co to znaczy? Jak pan mógł dopuścić do czegoś podobnego? Więc gdy miasto było spokojne, oni brali pensye, łapówki, używali, a teraz, gdy ich najwięcej potrzeba, uciekają.

— To są tylko żądania i o nich mówiłem w raporcie — odpowiedział śmiało — inna rzecz, czy pozwolę.

— Otóż z góry uprzedzam pana, żadnych dymisyj, urlopów, chorób .. to mój rozkaz... Pensye podwyższyć, obiecać dobre nagrody za schwytanie rewolucyonistów, powiększyć ilość policyi, na niebezpieczne miejsca wysyłać po dwóch, a generał Tiszew rozkaże, aby żołnierze byli posłuszni na każde wezwanie zagrożonego policyanta.

— Jedynie tylko tego rozkazu pragnąłem — skłonił się naczelnik — i w tym tylko zamiarze ośmieliłem się napisać ten raport.

— Zatem rzecz skończona — rzekł Czerniejew, a widząc ruch naczelnika, aby odejść, dodał: — siadaj pan. Radzimy tu nad bezpieczeństwem osób zagrożonych wyrokami śmierci.

— Otrzymałem dziś drugi wyrok, ale kpię sobie z tego — uśmiechnął się — ci łajdacy socyaliści, których się wypuści z więzienia dla braku miejsca, pozwalają sobie na takie żarty.

— Jednak zabijają — mruknął von Plessen.

— Ale same niższe czyny, na nas nie śmią podnieść ręki. Bo i kto są owi socyaliści, rewolucyoniści, anarchiści i jak się tam nazywają, prości ludzie, dużo żydów i trochę agitatorów z parszywą inteligencyą. Większość, bardzo znaczna większość, nic niema z nimi wspólnego i poszłaby z nami, aby ich zdusić, gdybyśmy pozwolili tylko na ich współudział.

— Jesteś pan tego pewny? — spytał Czerniejew.

— Najpewniejszy.

— Hm... cóż panowie na to?

— Znam Polaków dobrze, bywam w ich domach — zaczął Gołubiew — i podzielam zdanie pana naczelnika policyi co do socyalistów i ich stosunku do większości. Ale ta większość nienawidzi nas na równi ze socyalistami, od małego dziecka do starca; nawet ci, co spokrewnili się z prawosławnymi, wszyscy nas nienawidzą. Ich największą rozkoszą były nasze klęski na Dalekim Wschodzie, chociaż ginęli tam ich synowie, krewni; cieszą się ze zrabowania kas, poczt, monopolów, zabójstw, przez nienawiść do nas.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Warszawianka na dworze hiszpańskim.

Tempora mutantur.... Nie polski oręż dziś, lecz polska sztuka święci zwycięstwa w słonecznej Hiszpanii. Przed paru laty, pisma polskie doniosły



Warszawianka na dworze hiszpańskim: Helena hr. Morsztynówna.

o tryumfach Ignacego Paderewskiego za Pireneami, obecnie ten sam los przypadł w udziale młodej Warszawiance Helenie hr. Morsztynównie, znakomitej pianistce, której występy w Niemczech i Austryi w dwóch latach ubiegłych, zrobiły sensacyę w tamtejszym świecie muzycznym.

Hr Morsztynówna pochodzi z jednej z onych znakomitych staromiejskich rodzin krakowskich, którym gród podwawelski zawdzięcza chwile największej swej świetności, a która w późniejszej Rzeczypospolitej, dobiła się pracą i umysłem najwyższych zaszczytów. W sztuce, literaturze przodowali zawsze Morsztynowie, dziś więc, gdy atawistycznem jakiemś zrządzeniem, imię to znów jaśnieje na horyzoncie sztuki wszechświatowej, nie od rzeczy będzie nam przedstawić młodą artystkę polską.

Hr. Helena urodziła się w Warszawie 1888, studya początkowe pobierała u profesora Strobla, w następnych latach przechodziła nauki w wiedeńskiej „Szkole Mistrzów“, pod kierownictwem Straussa, które skończyła 1905 r. z najwyższą nagrodą państwową.

Odtąd rozpoczyna tournée artystyczne z olbrzymiem powodzeniem, Berlin, Hamburg, Monachium, Wiedeń, Praga itd. kolejno witają ją entuzyastycznie.

W r. b dostaje świetne engagement do Hiszpanii, gdzie koncerty jasnowłosej Polki porwały odrazu łatwo zapalnych seniorów i senioriny. Wielkie powodzenie, jakie towarzyszy młodzintkiej pianistce, odbiło się głośnem echem nawet na dworze hiszpańskim. Dnia 10 go b. m. w Madrycie na zaproszenie królowej Maryi Krystyny, udała się hr. Morsztynówna do Eskurialu, gdzie grała przeszło 2 godziny w obecności królowej matki, młodej pary królewskiej, infantek Izabeli i Eulalii, oraz ks Battenberskiej. Po wykonaniu najpiękniejszych pereł swego repertuaru hr. Morsztynówna została obdarzona najgorętszymi wyrazami uznania dostojnych słuchaczów. Królowa matka przyrzekła hr. Morsztynównie być obecną na ostatnim jej koncercie, oraz dołączyła prośbę odwiedzenia jeszcze raz przed wyjazdem pałacu królewskiego.

Hr. Morsztynówna na pamiątkę miłych chwil spędzonych w Eskurialu, otrzymała z rąk królowej wspaniałą lilię Burbońską wysadzaną brylantami.

Wyjazd „na Saksy“.

Wiosna, która budzi do życia całą przyrodę, może u nas nazywać się słusznie porą wędrówki ludu wieśniaczego. Z końcem lutego bowiem rzesze naszych rolnych pracowników wybierają się w daleką drogę i ciągną w obce kraje za chlebem,



Fot. W. Lis z Krakowa.

Wyjazd »na Saksy«: Nowa poczekalnia IV. klasy dla robotników-emigrantów na kolei w Oświęcimiu.

którego im własna matka-ziemia dać nie może. Do Prus! — Na Saksy! — oto okrzyki, które codziennie słyszeć można na wszystkich stacyach galicyjskich od Podwołoczysk do Oświęcimia.

Oświęcim, nieznaczna ta stacya, w obecnym czasie staje się ową Mekką, do której wszyscy dążą. W Oświęcimiu koncentrują ajenci swoje transporty, pruscy ziemianie zjeżdżają się tutaj po odbiór rąk roboczych. Oryginalny też jest widok tutejszego dworca: wszędzie pełno ludzi, gwarno, rojno, pełno hałasu i kramu. Rusini. Polacy, zgodnie siedzą w poczekalniach omawiając warunki kontraktu. Od czasu do czasu zabłyśnie między tłumem bagnet żandarma, lub przemknie któryś z ajentów policyjnych, baczący gorliwie na nieproszonych ajentów pokątnych i operatorów kieszeni.

Rozmiary tej wędrówki, przybierające z każdym rokiem coraz to większe liczby, spowodowały zarząd kolei do wybudowania osobnej poczekalni dla robotników, czyli tak zwanej tutaj poczekalni IV. klasy, gdyż na pruskich kolejach jadą robotnicy IV klasą. Jest to sala zbudowana z czerwonej cegły, długa na 50 kroków, a szeroka 18 kroków. Wewnątrz mieszczą się liczne ławki, bufet i kasa osobowa.

Prócz tego otworzono tutaj biura pracy powiatu bialskiego, którego kierownictwo powierzono p. Heinzemu, człowiekowi o niezwykłej energii: dniem i nocą czynny, z całą energią stara się o wyplenienie pokątnych ajentów i o zapewnienie robotnikom jak najkorzystniejszych warunków pracy. Liczne rzesze robotników, szukające w biurze powiatowem pracy i porady, są wymownem świadectwem, iż praca ta nie idzie na marne, ajenci tracą z każdym dniem klientów i głośno narzekają na brak interesów.

Obok biura pracy założono „Schronisko“, czyli dom noclegowy dla robotników, gdzie podaje się za cenę kosztu skromne potrawy, nie pobierając za nocleg żadnej opłaty. Należy się spodziewać, iż usilna praca wszystkich uczciwych ludzi wybawi lud nasz z nie-



Fot. W. Lis z Krakowa.

Wyjazd »na Saksy«: Wnętrze nowej poczekalni IV. klasy dla robotników-emigrantów na kolei w Oświęcimiu.

woli ajentów, tuczących się krwią i potem robotników.

Tutaj zaznaczyć należy, iż powiatowe biura za usługi swe, tak zwane nastręczenie roboty, nie pobierają od robotników żadnej zapłaty.



Fot. W. Lis z Krakowa.

Wyjazd »na Saksy«: Nowopowstałe w Oświęcimiu schronisko dla robotników-emigrantów.

Dla dokładności zaznaczamy, iż w roku ubiegłym przejechało, jak stwierdzają zapiski policyjne, przez Oświęcim do Prus 73 560 robotników. Cyfra ta jest chyba wymownem świadectwem, niestety— naszego ubóstwa.

W tych dniach wysłaliśmy naszego specyalnego korespondenta, dla przekonania się, czy ruch bieżący przyniósł jakie zmiany korzystniejsze. Niestety — naczelnik ekspozytury policyi na dworcu, p. Krzyżanowski, oświadczył nam, iż rok bieżący dużo większe wykazuje wychodźctwo.

Zdjęte przy tej sposobności ryciny, przedstawiają: poczekalnię dla robotników, jakoteż „Schronisko“, ciekawe ze względu na urządzenie wewnętrzne, gdzie urządzono prycze piętrowe, jak na okrętach.

Aktualny żarcik.

Kronika brukowa ery, tak zwanej konstytucyjnej w Królestwie Polskiem, nie mało naniosła materyału dla humorystyki i satyry, wytwarzając niekiedy sytuacye szczerze komiczne, o głębszych nawet zgrzytach. Szczególnie zaś wybory dały asumpt do żartobliwych anegdotek i prawdziwych „qui-pro-quo“, któremi bawiła się Warszawa. Wszak głośno opowiadano sobie np. w roku zeszłym o pewnym kandydacie na posła, hrabi, który przedzierżgnąwszy się w namiętnego demokratę, ponieważ to się stało modne, spotkał się we własnym dzienniku z ostrą krytyką klubu, którego był wybitnym członkiem. Biedny hrabia nie wiedział nawet o sensacyjnym artykule, gdy klub zażądał od niego wytłomaczenia się z tego powodu. Sztuczna ta i nieszczera demokracya błękitnych, pragnących za wszelką cenę wejść do Dumy, posłużyła sympatycznemu artyście sceny warszawskiej, p. Władysławowi Palińskiemu, za temat do napisania komedyi trzyaktowej, a raczej żartu aktualnego p. t. „Kandydat do Dumy“.

Bohaterem tej farsy, wystawionej z powodzeniem w teatrze „Małym“ w Warszawie, jest Kwiryn hr. Rowiecki, któremu gwałtem zachciało się zostać posłem do Dumy. W celu przeprowadzenia swej kandydatury, kupuje więc pismo o barwach „radykalno-demokratycznych“, w domu zaś pod rygorem zakazuje mówić po francusku, a służbie pozwala zapuścić wąsy i brodę, aby z golonych twarzy zdjąć piętno „lokajstwa“. Hrabia ma stanąć na trybunie wyborczej. Los płata mu jednak figla. Nie dość, że w organie Rowieckiego pojawia się szykana klubu, do którego on należy, ale nadto przyjaciółka hrabiego, z którą łączą go od dłuższego czasu bliskie stosunki kosztowne, sprowadza cały „sztab“ kuzynów swoich z nad Wisły i urządza wykradzenie kandydata do Dumy, przy okrzykach „ręce do góry!“....

Łatwo się domyśleć, jak publiczność bawiła się na tak uciesznej farsie na tle aktualnem i jak gorąco oklaskiwała pomysł autora. Zamieszczamy dziś jego ostatnią fotografię.

Ofiara systemu.

Wśród duchowieństwa prawosławnego, które, jak wiadomo, nie odznacza się zbyt wysokim poziomem inteligencyi, zdarzają się jednak osobistości wybitne, znacznie przechodzące przeciętną miarę.

Do nich można niezawodnie zaliczyć świeckiego duchownego Petrowa, zwolennika zasad bardzo liberalnych, który jako członek stronnictwa kadedów został wybrany do obecnej Dumy. Niestety, nie długo cieszył się swoją godnością, gdyż jego władze przełożone nie pozwoliły mu zająć krzesła poselskiego, lecz kazały mu udać się do jednego z klasztorów „na pokutę“.

Rycina, którą podajemy w dzisiejszym numerze, przedstawia chwilę jego wyjazdu z Moskwy, gdy, oprócz żony, żegna go liczny tłum przyjaciół i zwolenników politycznych. W ponurych murach monasteru, wśród otoczenia fanatycznych, nieoświeconych czerńców, będzie miał czas ojciec Petrow ochłonąć ze swych liberalnych zapałów, oraz rozmyślać nad systemem rządów rosyjskich, którego padł ofiarą, a który stoi w tak jaskrawej sprzeczności do konstytucyi na papierze nadanej.

Proces morderców Hercensztajna.

Sprawa zamordowania w Teriokach w Finlandyi posła do Dumy Hercensztajna, znaną jest dokładnie Czytelnikom naszym, dawaliśmy bowiem szczegółowy jej opis, zamieszczając swego czasu szereg illustracyj do tej głośnej sprawy. Teraz dopiero toczy się proces o ten mord tajemniczy, który tyle komentarzy wywołał powszechnie w prasie rosyjskiej i zagranicznej. Proces toczy się również na terytoryum Finlandyi, w Kievenen, zacisznem miasteczku, w pobliżu pamiętnych Teriokˆów. Jest tam zaledwie jeden skromny zajazd, więc kłopotu mieli niemało liczni korespondenci gazet zagranicznych, którzy umyślnie do Kievenen przybyli na rozprawę sądową morderców Her-



Aktualny żarcik: Artysta sceny warszawskiej, Władysław Paliński, autor farsy »Kandydat do Dumy«.



Ofiara systemu: Na dworcu w Moskwie pożegnanie ojca Petrowa (w futrze), wybranego do Dumy, a zesłanego na pokutę do klasztoru.

censztajna. Dziennikarze wogóle stanowili większość publiczności w sali niepozornego domku, w którym proces się rozgrywa. Sędziów przysięgłych zasiadło siedmiu (sami włościanie fińscy), a przed trybunał wprowadzono młodego, tęgiego chłopa, zakutego w ciężkie kajdany. Widać go na załączonej fotografi. Po audytoryum przeleciał szept tajemniczy: „To morderca Hercensztajna, Aleksandrow". Typ to często na bruku petersburskim spotykany w szeregach ludzi „bezrobotnych". Twarz bezmyślna, oczy przenikliwie patrzące, zamglone, jak u pijanego, włosy długie, czarne, kędzierzawe. Więzień ma na sobie futro wspaniałe. Po odczytaniu aktów, zaczyna się przesłuchiwanie. Okazuje się, że, Siergiej Aleksandrow ma lat 28, z zawodu jest tokarzem, wykształcenia prócz fachowego nie pobierał wcale, sam przyznaje, że niepiśmienny. Na pytanie sędziego powiada, że do „Związku narodu rosyjskiego" zapisał się przed rokiem, za namową znajomego robotnika Ławrowa, który go nawet sam zaprowadził do „Sojuza". Z drżeniem w głosie woła podsądny: „bo ja zawsze bronić będę wiary prawosławnej, cesarza i Rosyi". Zapewnia, że nie należał do „bojówki Związku". Był stróżem, więc dlatego miał rewolwer dla obrony własnej, a kiedy znajomi fotografowali się z rewolwerami i on stanął z browningiem w ręku, stąd więc pochodzi, że sąd posiada jego podobiznę w tak bojowej postawie. Znał około 200 członków „Związku", więc trudno mu pamiętać różnych ludzi, o których go pytają sędziowie „Sojuz" płacił mu 15 rubli i po 60 kopiejek dziennie na „herbatę". Za to chodził na miasto za interesami, roznosił listy, „posyłano mnie, gdzie trzeba było".

Aleksandrow zapewnia, że nigdzie w lecie nie wyjeżdżał z Petersburga, a w Finlandyi nigdy nie był. Sędziowie zwracają mu uwagę, że świadkowie widzieli właśnie w krytycznym czasie w Teriokach człowieka do niego podobnego. Jak to objaśnić? — Albo ja wiem — odpowiada Aleksandrow — w Finlandyi nigdy nie byłem, a teraz uwięziono mnie i kazano odpowiadać za to, że ktoś tam jakiegoś żyda zamordował.....

— A co wy też wiecie o zamordowaniu Hercensztajna?

— Mówili mi, że zamordował go Łaroczkin, sam nawet raz opowiadał, byli przytem Ławrow i Zoryn, był Kazankow, a zdaje się że był także Gamziej.... A kto strzelał do Hercensztajna, tego nie wiem. Pamiętam, że ledwo wieść rozeszła się o tem, mówił Łaroczkin, iż jeździł z Kazankowem do Finlandyi. Dopiero po dwu tygodniach opowiedział nam, iż to on sprzątnął tego żyda; mówił, że strzelał z browninga, a kiedy Hercensztajn upadł na ziemię, przelazł przez ogrodzenie, włożył zapasowe spodnie i wróciwszy, pomagał nieść trupa.

Podczas rozprawy przychodziło parokrotnie do sprzeczek między Aleksandrowem a świadkami. W drugim dniu procesu sędzia Selin zawiadomił, że Aleksandrow pod wpływem zeznań świadków przyznał się do współudziału w morderstwie. Nocował on wraz ze współwinnymi u Zapolskiego, byłego żandarma, a obecnie stójkowego petersburskiego. Zjawia się on jako świadek na sali sądowej, w paradnym mundurze, z dwoma krzyżami św. Jerzego na piersiach. Powiada, że w ową noc krytyczną przyjął obcych ludzi na nocleg dlatego, że sądził, iż są ajentami ochrany, jak mu się przedstawili, legitymacyi zaś nie żądał od nich, bo się spodziewał kilku ajentów.

Proces na razie odroczono, ponieważ nie stawiło się kilku najważniejszych świadków, oraz dwóch współoskarżonych. Sąd polecił ich dostawić na nowy termin przymusowo.

Z dotychczasowego przebiegu rozprawy podajemy dwie fotografie. Na pierwszej widać w sali sądowej kilku przysięgłych, sędziego z Wyborga Selina, senatora Langenschredta, pełnomocnika wdowy Hercensztajnowej, sekretarza, zaprzysiężonego tłomacza i wreszcie po lewej, na najbliższym planie siedzącego na krześle obwinionego Aleksandrowa w kajdanach. Na drugiej rycinie przed domem, w którym proces się toczy, stoi grupa ważnych świadków. Jest tedy ów Zapolski, były żandarm na stacyi w Teriokach, a obecnie policyant petersburski (niegdyś sam członek „Związku narodu rosyjskiego"), są Zoryn, Ławrow, Grizaj, oraz Weber.



Proces morderców Hercensztajna: Wnętrze sali sądowej w Kievenen w Finlandyi podczas rozprawy; pierwszy na lewo (X) oskarżony tokarz Aleksandrow w kajdanach.



Fot. A. Draukow z Petersburga.

Proces morderców Hercensztajna: Główni świadkowie w procesie w Kievenen w Finlandyi: 1. Zapolski, 2. Zoryn, 3. Ławrow, 4. Grizaj, 5. Weber.

Redaktor w opałach.

Zasłużony działacz narodowy, powszechnie znany publicysta Wiktor Czajewski, staje od pewnego czasu co trochę przed sądem, pociągany przez władze administracyjne do odpowiedzialności jako redaktor i wydawca najwybitniejszego z pism codziennych na prowincyi w Królestwie Polskiem, „Rozwoju" w Łodzi. Za najrozmaitsze artykuły śmielszej treści, pomieszczane w różnych czasach



Redaktor w opałach: Wiktor Czajewski, redaktor i wydawca »Rozwoju« w Łodzi.

w tym dzienniku, odpowiada teraz redaktor Czajewski przed sądami i niestety spotykają go za każdym razem kary dotkliwe. Ostatni jego proces zakończył się również zasądzeniem obwinionego jak w poprzednich rozprawach. Za wzmiankę w „Rozwoju" o ograbieniu przez żołnierza pewnego ogrodnika, zasądzono redaktora na dwa miesiące, za artykuł o zjeździe w Terjokach na 4 miesiące, podobnie jak za artykuł p. t. „Krwawy pochód w Pabianicach" wydał sąd wyrok skazujący go na czteromiesięczne więzienie. Takiego prześladowania nie zaznaje w tej chwili żaden z publicystów zakordonowych. Załączamy dziś z tej okazyi ostatnią podobiznę dzielnego redaktora.

Przywódcy kadetów.

Najwybitniejsze stronnictwo pierwszej Dumy, konstytucyjni demokraci, przez skrócenie zwani „kadetami“, powrócili do drugiej Dumy w mocno zmniejszonej liczbie, a skutkiem zabiegów rządu znaczna liczba ich najwybitniejszych przywódców, jak np. Muromcew, pozbawioną została biernego prawa obieralności.

Pomimo tego jednak i teraz liczy powyżej wymienione stronnictwo w swych szeregach kilku bardzo wybitnych działaczy, których portrety podajemy w dzisiejszym numerze.

Na rycinie pierwszy z lewej strony siedzący poseł, to Mikołaj Kutler, który aż do ubiegłego roku był wysokim urzędnikiem w ministerstwie finansów, a nawet towarzyszem ministra, podczas gdy hr. Witte kierował finansami Rosyi.

Obok niego, profilem do widza zwrócony, siedzi Józef Gessen. Już jako student odeskiego uniwersytetu, został on relegowany, a później przez lat trzy zesłany był do Wołogdy za przestępstwa politycznej natury; wreszcie został adwokatem. Nie przeszkodziło to jednak, że powołano go do ministerstwa sprawiedliwości na czas pewien. Założył on i redaguje znakomicie fachowe pismo pod tyt. „Prawo“.

Trzecim z kolei jest Michał Teodorow, który karyerę swą rozpoczął jako oficer. Po siedmiu latach wystąpił z wojska i udał się na uniwersytet w Moskwie, gdzie skończył wydział prawny. Następnie zajmował się dziennikarstwem i w czasie ostatniej wojny turecko rosyjskiej spełniał funkcye korespondenta z placu boju. Równocześnie studyował sprawy kolejnictwa i uchodzi za pierwszorzędną powagę w tej dziedzinie.



Przywódcy »kadetów«: Wybitni członkowie Dumy: M. Kutler, J. Gessen, M. Teodorow, P. Struve.

Czwartym wreszcie — jest Piotr Struve, wnuk sławnego astronoma, kierownika niegdyś obserwatoryum w Pulkowie pod Petersburgiem. Już od wczesnej młodości poświęcił się publicystyce, skłaniając się ku socyalizmowi. Skazany na wygnanie wydawał od r. 1902 — 1905 naprzód w Sztutgardzie, a następnie w Paryżu dwutygodnik: „Oswobożdienie“, który cieszył się wielką poczytnością w sferach inteligencyi rosyjskiej, a w którym dzielnie bronił zasad tych, jakie obecnie stanowią podstawę programu stronnictwa kadetów.

Portrety dwóch innych wybitnych członków tegoż stronnictwa, Gołowina i Czełnokowa, podaliśmy w poprzednim numerze w grupie członków prezydyum Dumy.

Katastrofa w kopalni.

Dziwny jakiś zbieg okoliczności sprawia, iż tragiczny łańcuch katastrof nie przerywa się na chwilę w Europie. Szczególnie zaś jedno po drugiem następujące nieszczęścia w kopalniach przejmują zgrozą.

Jeszcze nie przebrzmiały echa strasznego wybuchu w zagłębiu rzeki Saary, gdy znów nadeszły stamtąd Hiobowe wieści. Mianowicie kilka dni temu w Kleinrösseln gazy w olbrzymiej głębokości 417 metrów wybuchnęły, a ich ofiarą padło prawie dwustu ludzi, pracujących w tamtejszych kopalniach węgla.

W pierwszej chwili na powierzchni ziemi nie miano wcale pojęcia o tem, co zaszło w jej głębi. Dopiero wówczas, gdy winda wyjechała w górę z pierwszymi uratowanymi górnikami, zorganizowano natychmiastową pomoc. Niewiele ona jednak pomogła, bo jedni z górników zginęli odrazu, inni zaś, ciężko przeważnie ranni, wkrótce poumierali w szpitalu.

Rozpacz pozostałych żon, matek, sióstr i dzieci łatwo sobie przedstawić. W Kleinrösseln rozgrywały się równie rozdzierające sceny, jak w wielu innych kopalniach węgla, które pochłaniają tysiące ofiar co roku.

Jak dotąd, wszystkie postępy techniki górniczej okazują się bezsilnymi co do zabezpieczenia życia tych pracowników, którzy z głębi ziemi, dobywają dla nas, ciepło, światło i energię mechaniczną pod postacią „czarnych dyamentów“, czyli kamiennego węgla. I tym razem posypały się obfite składki na rzecz ofiar ostatniego nieszczęścia, lecz nikt nie może zwrócić życia tym prawdziwym męczennikom pracy.



Katastrofa w kopalni: Szyb, w którym zdarzyła się katastrofa w Kleinrösseln.



Katastrofa w kopalni: Przed szybem po katastrofie w Kleinrösseln.

Nowość na bruku krakowskim.

(Do illustracyi na str. 13).

W Krakowie, gdzie tak dotkliwie daje się odczuwać brak kolportażu ulicznego, należy z zadowoleniem powitać założenie ruchomych ajencyj gazet, w postaci przenośnych stolików w miejscach, gdzie zwykle gromadzi się więcej ludzi, jak np. na placach targowych. Na taki dobry pomysł wpadła i wprowadziła go w życie znana w naszem mieście ajencya pism pod firmą J. Hopcasa i Salomonowej. Przed tygodniem otwarto pierwszy stolik z gazetami naprzeciw apteki Redyka wśród kramów na Małym Rynku. Jak widać na załączonej fotografji, jest to stolik skrzydłowy, na którym rozłożone są wszystkie pisma codzienne krakowskie, lwowskie, warszawskie, a nawet niemieckie i rosyjskie, obok tygodników i miesięczników, w ten sposób, że mający chęć kupienia gazety, widzi wszystkie tytuły i może dowolnie wybierać. W razie deszczu, nad stolikiem takim rozpina się na drążkach żelaznych płótno, które dla sprzedającej tworzy rodzaj parasola i od zmoknięcia chroni pisma. Podobne kramiki otwarte z gazetami już w najbliższym czasie zamierza wspomniana ajencya umieścić i w innych najruchliwszych punktach miasta, pierwszy stolik bowiem na Małym Rynku, ma ogromne powodzenie. Gromadzą się zaś przy nim przedewszystkiem ludzie, którzy gazet nie kupowali, bo ich nie mieli „pod ręką“ na targu, na widoku publicznym. Dziś nie potrzebują po nie chodzić do sklepów, mając je pod gołem niebem.

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów

przez M. Walter

tłomaczył z angielskiego B. Felicyan

13 (Dokończenie.)

— Owa Nelly Browu jest teraz w więzieniu, gotowa opowiedzieć nam rzeczy bardzo ciekawe

— Ależ to przerażające! — zawołał dr Hale.

— Zbrodnie tej osoby są istotnie przerażające, ale sposób, w jaki umiała je ukrywać i popełniać, mistrzowstwo w udawaniu osoby uczciwej i skromnej, są może jeszcze potworniejsze, niż sama zbrodnia. Moi panowie, nie bierzcie tego za jakiś zwrot poetycki, gdy powiem, że najzręczniejszy z szatanów mógłby jej zazdrościć obłudy.

Nastała chwila milczenia; Durand zwiesił głowę, a dr. Hale pocierał czoło. Wreszcie adwokat, zwracając się do Duranda, zapytał tonem przyjacielskim:

— Będzie to dla pana bardzo dotkliwe, gdy adoptowana córka zostanie uwięziona.

— Uwięzienie samo przykrości panu Durandowi nie sprawi — rzekł Stuart. — Przykrą byłaby tylko rozprawa sądowa i zasądzenie, ale zdaje mi się, że bez tego obejść się może, jeżeli tylko pan na to zezwoli, panie doktorze, jako zastępca matki zamordowanego.

— Jakto? Więc zbrodnia miałaby ujść bezkarnie? — zawołał dr. Hale ze zdziwieniem. — Nie rozumiem pana.

— Zaraz wytłómaczę. Laura Durand popełniła jeszcze większą zbrodnię w Anglii i za nią przed sądami angielskimi postawioną być może. Czyż nie lepiej, uwięziwszy ją, oddać sądowi angielskiemu, niż stawić ją przed sądem naszym i oskarżyć o kradzież i morderstwo? Tok rozprawy sądowej musiałby dobyć na jaw co nieco z różnych płochych wybryków zamordowanego, a to dla nieszczęśliwej matki byłoby bardzo bolesne. Również i dla państwa Durandów nie bardzo to pożądane, aby ich nazwisko sprzęgać z rozprawą sądową. Laurę Durand mogłem był już dawno uwięzić, ale nie chciałem tego czynić bez porozumienia się z panami.

XXVII.

Wyznanie.

— Jakoś dwa lata temu — opowiadała Nelly Brown — płynęłam z Liverpoolu do New Yorku. Tym samym parowcem płynęli także państwo Durandowie z córką. Nikt z nich nie zwracał na mnie uwagi, bo ja, jako osoba biedna, byłam w drugiej klasie.

Jakże zazdrościłam córce bogatych rodziców, co jak księżniczka używała dostatków, a wyniośle spoglądała na otoczenie, które jej się wydawało niższem od stanowiska rodziców. Wówczas nie przeczuwałam, że wkrótce spotkamy się i że połączą nas dziwne stosunki.

Przybywszy do New Yorku, znalazłam skromne zajęcie. Pewnego dnia, wracając do domu, spotkałam na ulicy pannę Durand w towarzystwie młodego człowieka. Wiedziona po części ciekawością, po części dziwną jakąś niechęcią ku tej dumnej osobie, postanowiłam ją śledzić. Jakoż przekonałam się, że panna Durand udała się z młodym człowiekiem do pewnego domu, skąd wyszła z nim po dwóch godzinach. Powzięłam myśl, żeby z tego wysnuć dla siebie jakieś korzyści. Dowiedziawszy się o mieszkaniu państwa Durandów, poszłam do panny Laury, opowiedziałam jej wręcz, że ją śledziłam i wyśledziłam jej schadzkę z młodym człowiekiem. Aby okupić moje milczene ofiarowała mi bardzo cenny pierścionek z brylantami. Przy tej sposobności dowiedziałam się, że państwo Durandowie tylko chwilowo przebywają w New-Yorku a mieszkają stale w Chicago. Zdarzyło się, że poznałam Fergusa, pokochałam go i z miłości do niego udałam się za nim także do Chicago. Pewnego razu zobaczyłam w teatrze pannę Laurę Durand z tym samym młodym człowiekiem, z którym miała schadzkę w New-Yorku. Był to Frank Arteveldt. Nakłoniłam Fergusa, żeby się z Arteveldtem poznał i zaprzyjaźnił, przez co mogłabym dowiadywać się różnych szczegółów z życia tej dumnej córki milionerów, aby ją kiedyś upokorzyć, Po niejakim czasie miłość Fergusa ku mnie zaczęła nieco stygnąć, co mnie i bolało i niepokoiło. Być może, że moje skromne stanowisko zniechęcało go do mnie, więc zapragnęłam dostać się w sferę lepszego towarzystwa. Fergus pragnął także zawiązać stosunki towarzyskie w wybitniejszych domach miasta

Aby i sobie i jemu drogę do tego utorować, udałam się do Laury z żądaniem, aby mnie w charakterze swej towarzyszki w dom swych rodziców zaprosiła. Z początku opierała się temu zawzięcie, ale wreszcie ustąpiła z obawy, abym nie zdradziła jej zbyt swobodnych stosunków z Frankiem Arteveldtem.

Lękała się mnie i nienawidziła; byłam dla niej ciągłym wyrzutem sumienia i bezustanną groźbą. Ta nienawiść Laury była mi zupełnie obojętna; Laura była dla mnie niewyczerpaną skarbniczką dochodów i korzyści. Fergus zaprzyjaźniał się coraz ściślej z Arteveldtem, żyli ze sobą bardzo poufale, więc łatwo było spostrzedz Fergusowi, że Arteveldt odwracać się zaczyna od Laury, że dąży do zerwania dotychczasowych stosunków. Chciał z tego skorzystać i zająć w sercu Laury miejsce swego przyjaciela, aby przez bogate ożenienie wspiąć się na wyżyny towarzyskie. To obudziło moją zazdrość, mściłam się na Laurze, dokuczałam jej zawzięcie, aż ona, znieść tego nie mogąc, postanowiła się mnie pozbyć.

W pomoc przybył jej Fergus, zniewoliwszy mnie do tego, abym mu pomagała we fałszerstwie monet. Zgodziłam się opuścić dom państwa Durandów dobrowolnie pod warunkiem, że mi Laura zapłaci 10.000 dolarów.

Nie wyobrażałam sobie, aby tak znaczną kwotą dysponować mogła, jednak Laura wypłaciła mi te pieniądze i to zaraz nazajutrz po owym dniu, w którym pana Duranda okradziono. Jakoś około tego czasu zaczęły się rozchodzić wieści, że Arteveldt zamierza się ożenić z panną Armyn. Oczywiście, że Laura o tem się dowiedziała i teraz zaczęły się burzliwe sceny. Laura prośbą i groźbą starała się odwieść swego kochanka od ożenienia z inną kobietą, ale Arteveldt był nieugięty. Odwiedziła też pannę Armyn, łudząc się nadzieją, że ją nakłoni do zerwania z Arteveldtem.

Gdy i tu doznała zawodu, zmieniła się w dziwny sposób. Stała się tak lodowato spokojną, że musiałam w tem upatrywać jakiś nienormalny stan duszy.

Fergus szukał odpowiedniego mieszkania na założenie schroniska dla fałszerzy monet. Raz nadmieniłam coś ogólnikowo, że Fergus szuka mieszkania, bo ma się ze mną ożenić. Oczywiście nie mówiłam o właściwym celu. Wtedy bardzo gorąco namawiała mnie Laura, abyśmy z Fergusem wynajęli willę przytykającą do tej, którą Arteveldt wynajął dla siebie. Fergusowi ta myśl sie spodobała i rzeczywiście mieszkanie to wynajął. Tymczasem klucze od najętego mieszkania oddał mi Fergus do przechowania. Jakoś tak się złożyło, że zaraz po widzeniu się z Fergusem, gdy mi klucze wręczył, poszłam wprost do Laury. W toku rozmowy opowiedziałam, że mieszkanie wynajęte i pokazałam klucze.

Wróciwszy do domu, spostrzegłam, że kluczy nie mam. Byłam pewną, że ich nie zgubiłam, więc niezawodnie u Laury zostawić je musiałam. W godzinę potem byłam ponownie u Laury, żeby zabrać klucze, ale ich znaleść nie było można i dopiero na drugi dzień odesłała mi je Laura z doniesieniem, że je pod kanapą przypadkowo znalazła. Wydało mi się to bardzo podejrzane i nasunęło mi się na myśl, że owe klucze zręcznie mi zabrała po to, aby według nich dać zrobić takie same. W dwa dni po tem znowu tak się wydarzyło, że w mej obecności przyniesiono jej pakiet, z którego wyjęła ciemny płaszcz z bardzo skromnego materyału. Na co jej taki płaszcz był potrzebny, tego mi nie mówiła, ale wnet sama dowiedziałam się o tem. Wiadomo, że Laura nie była na weselu Arteveldta, wymówiwszy się chorobą. Co się stało owej nieszczęsnej weselnej nocy, tego nie potrzebuję powtarzać, panowie wiecie to lepiej odemnie.

Natychmiast powzięłam podejrzenie, że Laura zabiła Arteveldta. Poszłam do niej, aby jej opowiedzieć o tem, co się stało i ku największemu zdumieniu spostrzegłam, że wiadomość o śmierci Arteveldta wprawiła ją w rozpacz prawdziwą. Nie mogłam tego zrozumieć. Gdyśmy się w ośm dni potem w wynajętej willi urządzali, rozpatrywałam się bardzo dokładnie po całem mieszkaniu, by uzupełnić uporządkowanie i weszłam na ów szklany ganek, który łączy obie wille.

Zdziwiło mnie bardzo, skąd na podłodze były ślady stearyny, pozostałe z kapiącej świecy, a jeszcze bardziej zastanowił mnie oddarty kawałek czarnej materyi, tkwiący na gwoździu sterczącym w progu, a jeszcze dziwniejsze, że drzwi z ganku do mieszkania Arteveldta wiodące, nie były na klucz zamknięte. Przypatrzywszy się dokładnie oddartemu kawałkowi tkaniny, poznałam, że pochodzi z owego płaszcza, który Laurze w mej obecności przyniesiono.

* * *

Wszyscy czterej udali się z więzienia do kancelaryi dra Hale.

— Nadmienił mi pan, panie Stuart — rzekł dr. Hale, że Laura Durand popełniła w Anglii jakąś zbrodnię i że może być władzom angielskim oddana. Czy mogę pana zapytać, jaka to zbrodnia?

— Od trzech lat szuka mój przyjaciel Jocellyn Elizy Schwarz, która w Londynie zamordowała swojego męża i jego siostrę. Tą Elizą Schwarz jest panna Durand.

— Wydaje się to wprost bajeczne — nadmienił dr. Hale. — Jakaż kara czeka ją za to w Anglii?

— Kara śmierci — rzekł Ferrars.

— A więc imieniem nieszczęśliwej matki zamordowanego wyrzekam się sądowego ścigania morderczyni Arteveldta.

— A więc sprawa załatwiona — rzekł Stuart. — Teraz nie traćmy czasu.

* * *

Laura zamyśliła się bardzo. Wspaniały buduar wydał jej się teraz nie tak pięknym, jak zawsze; nawet z siebie samej nie była zadowoloną, ona. która z takiem upodobaniem zwykła się podziwiać w zwierciadłach. Rozdrażnienie coraz silniej wdzierało się jej w nerwy i wstrząsało nimi.

Była tak bliską celu; uśmiechały się do niej miliony, a tu nagle zjawia się jakiś kuzynek, na którego ma spaść całe dziedzictwo Durandów, a ona miałaby tylko poprzestać na jakimś tam małym kapitaliku? Nie, to niemożliwe. Wszakże tego kuzynka możnaby uśnąć. Któżby się tego domyślił?...

Przecież by jej o to nie posądzono. Udało się z mężem i jego siostrą, udało się zataić i to, co się stało niechcący z Arteveldtem, czemużby i z tem się nie powiodło? Kuzyneczek nie zamyka się nigdy w swoim pokoju, więc mógł się wśliznąć zbrodniarz i bez przeszkody wejść do otwartego pokoju. Gdyby tak przyłożyć chustkę z chloroformem do twarzy?...

Zapukano do drzwi; prawie równocześnie je otwarto. Na progu ukazał się Durand, a za nim dr. Hale, Stuart, Jocellyn i Ferrars.

Na ich widok Laura zerwała się przerażona, a w tej chwili przystąpił do niej Jocellyn i położywszy jej rękę na ramieniu, rzekł poważnie, doniośle:

— Elizo Schwartz jesteś moim więźniem w imieniu prawa.

Trupia bladość okryła twarz Laury, zadrżała, oczyma błędnie spojrzała dokoła.

Na chwilę zatrzymał się jej wzrok na Durandzie, jakby w nim szukała ocalenia. Ale on spojrzał na nią surowo i rzekł z lodowatym spokojem:

— Nie spodziewaj się odemnie niczego. Chciałaś otruć tę zacną kobietę, która cię za córkę przyjęła. Niechaj ci prawo wymierzy sprawiedliwość!

Laura załamała ręce, opuściła głowę i stała milcząca, bezradna.

Jocellyn przerwał milczenie:

— Elizo Schwartz! Zamordowałaś swojego męża i jego siostrę i za to będziesz sądzona w Anglii. Obciążają cię inne zbrodnie. Okradłaś pana Duranda, który cię adoptował, a uczyniłaś to dla tego, aby przekupić Nelly Brown; usiłowałaś pozbawić życia żonę pana Duranda, a wreszcie zamordowałaś Franka Arteveldta.

— Boże! Boże! Ja zamordowałam Arteveldta?! — zawołała Laura z przerażeniem i boleścią straszną.

— Temu zaprzeczyć nie zdołasz. Dowodzą twej zbrodni listy i owe przedmioty, które ukrywałaś pani w torebce podróżnej, a potem chciałaś je z torebką wrzucić do wody. Rzuciłaś torebkę, ale bez kosztowności, skradzionych w Londynie, bez płaszcza, w którym mordu się dopuściłaś, bez sztyletu i bez kluczy, bo to wszystko wyjął z torby pan Stuart, a pani tego nie przeczuwałaś.

— Tych zbrodni wyprzeć się pani nie możesz — rzekł Stuart — ale wyzuaj wszystko szczerze, abyśmy mogli jakie takie znaleść okoliczności łagodzące.

Laura spojrzała na Stuarta dziwnym wzrokiem. Zdawało się, że patrzy na niego z kipiącą nienawiścią a zarazem z podziwem.

Gdyby tak można było zajrzeć na dno jej duszy, z pewnością byłoby się znalazło tam ubolewanie, że kuzynkowi nie przyłożyła wcześniej do ust chustki z chloroformem. Teraz dopiero zrozumiała, kto był owym kuzynkiem. Wyprostowała się, zebrawszy wrodzoną sobie energią, podniosła głowę do góry i spokojnie mówić zaczęła:

— Jestem zgubiona. Czyńcie ze mną, co się wam podoba. Jestem Eliza Schwartz. A teraz dowiedzcie się, czem byłam przedtem.

Gdy byłam niemowlęciem, porwali mię cyganie. Nie znając rodziców, ani nazwiska, wyrosłam wśród cygańskiej bandy i z nią wiodłam życie koczownicze. Czułam się bardzo nieszczęśliwą; zazdrościłam ludziom spokojnego życia i stałego mieszkania; pragnęłam wyrwać się od tych ludzi, do których nietylko przywiązać się, ale nawet przylgnąć nie mogłam.

Zdarzyło się pewnego razu, żeśmy rozbili namioty w pobliżu wspaniałego pałacu na Węgrzech. Liczne towarzystwo wyszło z pałacu ku naszemu obozowi, aby zabawić się cygańskiem wróżbiarstwem.

W gronie owych osób była bogata pani z Francyi, która przybyła w odwiedziny do krewnych na Węgry. Zobaczywszy mnie, z dziwnem zainteresowaniem wpatrywała się we mnie, a potem kupiła, zapłaciwszy dość znaczną sumę cyganom. Pojechałam z nią do Paryża. Pani moja kazała mię kształcić, zajmowała się mną po macierzyńsku. Zaczęłam nabierać szlachetniejszych popędów ku dobremu, z chciwością czytywałam książki, zajmowałam się muzyką; budzić się zaczęło we mnie pragnienie uczuć religijnych, wstępowałam na drogę, po której się zdąża do stanowiska uczciwej kobiety. Na nieszczęście trwało to tylko przez trzy lata.

Ta zacna osoba, która mnie po macierzyńsku kochała i do której uczuwałam jakieś dziwne dziecięce przywiązanie, umarła nagle.

Majątek zabrała jej rodzina, a mnie ofiarowano kilkaset franków i oddalono. Młoda, niedoświadczona, znalazłam się bez przyjaciół, bez opieki na paryskim bruku, nie wiedząc, co począć.

Padłam wnet ofiarą, jak wiele innych, ofiarą wyuzdania wielkiego miasta. Zwabiono mnie podstępnie do domu rozpusty. Zrazu czułam się nieszczęśliwą, chciałam się życia pozbawić, ale wnet porwana wirem namiętności, zatraciłam wszystko, co pod opieką tej zacnej opiekunki kiełkować we mnie zaczęło i stałam się rozkosznicą z upodobania. Owładnęło mną pragnienie zbytku. Pożerała mnie żądza złota, strojów i życia wystawnego. Powodziło mi się bardzo dobrze. Zostałam zupełnie samodzielną, urządziłam sobie wykwintne mieszkanie i w niem zbierałam złoto i hołdy milionerów. Tu poznał mnie stary bankier z Londynu, Schwartz.

Zakochał się we mnie, szalał za mną i zapragnął się ożenić. Spodziewałam się, że, zostawszy żoną milionera, będę mogła w całej pełni używać przyjemności życia, więc zgodziłam się na małżeństwo i zostałam Elizą Schwartz Siostra mojego męża nienawidziła mnie, podejrzywała, a mąż okazał się takim skąpcem, że mi odmawiał upragnionych strojów, żałował nawet takich przyjemności, jak teatra, koncerty. Prześladował mnie szkaradną zazdrością; pozostawałam wciąż pod strażą jego siostry. On chciał, abym była taką kobietą, jakiemi bywają zwykle żony poważnych ludzi, oddaną tylko domowi i mężowi. Dla mnie było to niewolą, więzieniem. Przez dwa lata cierpiałam, zmuszając się do wytrwania, aż wreszcie zabrakło mi cierpliwości i postanowiłam uciec. Ale uciec z gołemi rękami i skazać się na nędzę i na niepewność życia nie mogłam..

Pewnej nocy wyjęłam mężowi z pod poduszki klucze od kasy; już miałam się z niemi oddalić, gdy nagle budzi się i chwyta mnie silnie za rękę. Widząc, że mogę być zgubioną, chwyciłam drugą ręką za sztylet i wbiłam mu w skroń tak, że padł martwy bez jęku. Wychodzę z sypialnego pokoju i zdążam ku pracowni męża, gdzie była kasa. Otwieram, sięgam ręką do wnętrza, a w tej chwili staje przedemną siostra mojego męża, ze świecą w ręce i mierzy mnie nienawistnem, pogardliwem spojrzeniem. W sekundzie padła trupem, uderzona w skroń, zabarwionym krwią brata sztyletem.

Zabiłam ich dwoje, okradłam i uciekłam do Paryża. Czarne włosy zabarwiłam sztucznie na jasne, wiodłam życie skromne w ukryciu, marząc o tem, aby pokochać i przez miłość stać się uczciwą kobietą. Poznałam w Paryżu Artelveldta; ukochałam go całą potęgą pierwszej, nieznanej dotąd miłości. Zdawało mi się, że i on pokochał mnie również gorąco. Wiedząc że bogaty, że należał do najpierwszych sfer towarzyskich, lękałam się bardzo, czy zechce ożenić się ze mną. Z tego niepokoju, z tych obaw uwolnił mnie szczęśliwy przypadek. W Paryżu bawili państwo Durandowie, przybywszy tu z Ameryki, aby podróżą ukoić ciężki żal po stracie jedynej córki. Zdarzyło się, że siedziałam obok nich na koncercie. Uważałam, że pani Durand z jakiemś zdziwieniem i rozczuleniem na mnie spoglądała, dosłyszałam nawet, jak szepnęła mężowi:



Stuart dobywszy rewolweru, położył napastnika trupem.

„Jakżeż podobna do naszej ukochanej Laury“. W kilka dni potem weszłam do jednego z magazynów, po jakiś sprawunek i zobaczyłam w nim panią Durand. Ona mnie także spostrzegła i spojrzała z taką dziwną tkliwością, że odrazu wpadło mi na myśl, aby zawiązać rozmowę. Sposobność zaraz się nastręczyła, bo pani Durand mówiła słabo po francusku, a w magazynie nie było o tej chwili tych osób z personalu, któreby po angielsku rozmówić się mogły. Zbliżyłam się do pani Durand uprzejmie i prosiłam o pozwolenie służenia jej za tłómacza. Zgodziła się na to nawet z radością, widocznie zadowolona, że ze mną rozmawiać może. Po załatwieniu sprawunków pani Durand prosiła mnie, abym jej wskazała jeszcze kilka innych magazynów, w których coś kupić zamierzała, a wreszcie abym ją odprowadziła do domu. Tym sposobem zawarłam znajomość z tymi ludźmi, opowiadałam im bardzo kwieciście o różnych zmyślonych tragedyach mego sierocego żywota, ująłem ich sobie tak dalece, że mnie adoptowali. Niedługo potem wyjechaliśmy do New-Yorku, a tym samym statkiem popłynął też i Arteveldt. Durandowie znali go bardzo dobrze, więc w ciągu całej podróży był naszym nieodstępnym towarzyszem. Teraz już nie wątpiłam, że się ze mną ożeni, skoro zostałam dziedziczką milionerów.

Dowiedziawszy się, że Arteveld ma się żenić z Leonorą Armyn, usiłowałam go od tego powstrzymać wszelkimi sposobami; udałam się też do jego narzeczonej, a ta mi oświadczyła, że ją tylko śmierć od narzeczonego rozdzieli. Postanowiłam zemścić się skrycie. Nie będąc na weselu, nie wiedziałam, co się tam stało. Gdy światła już pogasły i cisza w willi nastała, weszłam przez sąsiednią, pustą willę, do której miałam dorobione klucze, otulona ciemnym płaszczem i dostałam się oszklonym gankiem do mieszkania Arteveldta. Nadsłuchuję: cisza zupełna, a więc śpią. Zgasiłam świecę i po ciemku wchodzę do sypialni. Przy łóżku dostrzegłam na szafeczce biały wieniec. A więc to ona na tem łóżku. Nachylam się, ale twarzy dojrzeć nie mogę; wysuwam palce, dotknęły skroni, uniesiona żądzą zemsty, tracę prawie przytomność i wbijam sztylet w tę skroń, przekonana, że od mego ciosu zginie Leonora. „Tylko śmierć od niego mnie rozdzieli“ mówiła wtedy do mnie i śmierć ją też rozdzieliła, a Frank będzie znowu moim. Z tem uczuciem wróciłam do domu. Gdy mi nazajutrz opowiedziano o wszystkiem, ogarnęła mnie rozpacz, bo ja mojego Franka zabić nie chciałam, bo ja jego kochałam, bo ja bym mu własne życie oddała w ofierze. Wtedy chciałam się wyrwać z tego miasta, z tych stosunków, ogarnął mnie jakiś szał niszczenia, jakaś żądza zabijania i oto wyjaśnienie owej trucizny, zadawanej tej zacnej kobiecie, która mnie za córkę przyjęła.

XXVIII.

Zakończenie.

Wieczorem tego samego dnia zdążał Stuart do Duranda i kiedy już skręcał w pustą zwykle ulicę, przy której była willa Durandów, wyskoczył nagle ku niemu jakiś silny człowiek i rzucił się na niego ze sztyletem. Równocześnie ktoś inny chwycił napastnika za rękę, aby mu sztylet wydrzeć, lecz w szamotaniu się z nim, sam otrzymał pchnięcie sztyletu i runął skrwawiony na ziemię. Tymczasem Stuart dobywszy rewolweru, położył trupem napastnika. Schyliwszy, się poznał Bradmardina. Nie troszcząc się o zabitego napastnika, zwrócił się ku rannemu i z przerażeniem zobaczył, że to był Ferrars. Szybko wezwał pomocy. Ktoś z przechodniów pospieszył po lekarza, ciężko rannego Ferrarsa przeniesiono do domu Durandów. Zwłoki Bradmardina zabrała straż policyjna.

Ferrarsa otoczono najtroskliwszą opieką; wezwano najznakomitszych lekarzy, przy łożu chorego czuwała Leonora na przemianę z Kate Scaton, a Stuart prawie na chwilę go nie opuszczał. Przez dwa tygodnie walczył ranny ze śmiercią, aż wreszcie silna, zdrowa natura i gorliwa pomoc lekarzy odniosły zwycięstwo.

Pewnego dnia, gdy już rannemu wolno było mówić, Stuart przysunął się do jego łóżka i spytał ze łzami w oczach:

— Czem ja zasłużyłem sobie, żeś chciał swe życie poświęcić dla mnie?

— To było moim obowiązkiem — odpowiedział Ferrars.

— Obowiązki przyjaźni nie sięgają aż tak daleko, by z życia swego uczynić dla przyjaciela ofiarę.

— Szczęśliwy jestem, że mówić mogę, że mówić mi wolno. Chciałem ci to wcześniej powiedzieć, ale nie było sposobności, albo raczej nie miałem może odwagi. Teraz ci powiem, ale niech to zostanie tajemnicą między nami, a zwłaszcza niech o tem nie dowie się Leonora. Baronet Sir Hirary, dziadek Leonory, miał młodszego brata, a ten był moim ojcem, lecz matką moją była prosta wieśniaczka i noszę nazwisko matki a nie ojca. Ojciec Leonory, acz znacznie starszy, wypadał mi bratem stryjecznym. Wiedział o mojem pochodzeniu i chociaż nie miałem nazwiska, nie gardził mną a gdym osierociał, opiekował się mną, po ojcowsku i prawie jak ojciec, lub jak brat starszy ze mną się

obchodził i jemu też zawdzięczam i wykształcenie i wszystko, czem jestem. Nie dziw się, że moim obowiązkiem spłacić Leonorze dług wdzięczności, u jej ojca zaciągnięty. Rozumiesz to dobrze, że istota tak szlachetna jak Leonora, ma szczerą głęboką wdzięczność dla ciebie, że też dlatego czuła by się nieszczęśliwą, gdyby ciebie coś złego spotkało. Widząc, że dość nieostrożnie chodzisz sam po mieście, lekceważąc sobie zemstę Bradmardina, czuwałem wciąż nad tobą i nad Bradmardinem. Właśnie owego wieczoru śledziłem Bradmardina i szedłem za nim bezustannie, a gdy skręcił w ulicę ku willi Durandow, przeczułem, że tu będzie czyhał na ciebie. I tak się też stało. Bogu dzięki, że nikczemnik zginął, a ty uszedłeś jego ciosu. Ponownie cię proszę, aby Leonora o niczem nie wiedziała. Baronet, jej dziadek, jest niesłychanie dumny i brałby jej za złe, gdyby chciała uznawać mnie za krewnego, jak to czynił jej ojciec. Niech ta biedna sierota, która tyle już przecierpiała, nie doznaje już żadnych przykrości.

— Gdyby mój dziadek kazał mi się wyrzec uczciwego człowieka, jabym się wyrzekła jego i jego majątku — odezwała się spokojnie Leonora, zbliżając się w tej chwili do łóżka Ferrarsa.— Wybaczcie panowie, że byłam świadkiem waszej rozmowy. Zapewne nie zechcecie mnie posądzić o płytką ciekawość, lub o brak poszanowania cudzej tajemnicy. Gdy stanęłam niepostrzeżenie na progu, usłyszałam, ze była mowa o moim ojcu. Uwierzycie zapewne, że byłam w onej chwili dumną z tego, iż jestem córką tak zacnego człowieka. Za młodym jesteś, panie Ferrars, żebym cię mogła uważać za stryja, ale musisz zezwolić na to, abym cię uważała za brata.

Uścisnęła mu rękę serdecznie.

* * *

Jocellyn odwiózł Elizę Schwartz do Anglii i oddał ją sądom tamtejszym. Pospieszył co tchu do Ameryki, bo miał do tego powód nieladajaki. Dawno już zakochał się w Kate Scaton, a i ona mu sprzyjała. Wracał teraz pospiesznie, bo czas było przygotować wesele.

Durand zaprosił raz Stuarta do siebie i uścisnąwszy go serdecznie, rzekł tkliwie i poważnie:

— Zawdzięczam ci, kochany panie, ocalenie życia mej żony; zawdzięczam ci ocalenie honoru mojego nazwiska przez wykrycie tej nikczemnicy; jesteś człowiekiem na wskroś uczciwym; byłeś przez kilka tygodni moim udanym bratankiem, bądźże teraz dziedzicem mojego nazwiska i mojego mienia, pozwól, bym cię przybrał za syna.

* * *

Baronet Hilary, ucieszony wiadomością o wykryciu wnuczki, przybył po nią sam do Ameryki. Przy pierwszem zaraz spotkaniu z nią, przekonał się, że jest nieodrodną córką swych przodków.

To samo poczucie godności, ta sama stanowczość, ta sama energia, a nawet rysami twarzy przypominała bardzo właśnie tego dziadka, który po nią przybył. Wkrótce zawiązał się między nimi stosunek najserdeczniejszy i dumny baronet tak jakoś zaczął ulegać odnalezionej wnuczce, że nie sprzeciwiał się wcale, gdy ona, teraz lady Hilary, pana Stuarta-Duranda, jako swego narzeczonego mu przedstawiła.

Ferrarsem zaopiekował się także po ojcowsku i tak skończyła się „walka o milion“.

KONIEC.



Fot. W. Lis.

Nowość na bruku krakowskim: Wśród kramów na Małym Rynku, pierwsza ajencya dzienników pod gołem niebem.



Wiec mieszczański: Uczestnicy odbytego we Lwowie w niedzielę na Strzelnicy krajowego wiecu mieszczańskiego. (Do artykułu na stronie 4).

Kronika tygodniowa.

Zawalenie się powały w gmachu Dumy nie było dla jej żywota złym horoskopem, jak to przewidywali nader liczni pesymiści, którzy i przed otwarciem Dumy wróżyli jej, że zejdzie z tego świata „w młodym wieku po krótkiej a ciężkiej chorobie“. Czytelnicy zechcą przypomnieć sobie (a jeżeli nie zechcą, to my im sami przypomnimy), że kronikarz tygodniowy „Nowości“ należał do tych rzadkich, wyjątkowych dziennikarskich proroków, którzy sądzili, że druga Duma okaże się znacznie spokojniejszą i grzeczniejszą od pierwszej, że panowie skrajni nieco skadecieją, a panowie „kadeci“ przesuną się trochę na prawo, ponieważ prawdopodobnie zrozumieją, że gdyby druga Duma naśladowała pierwszą, toby ją równie rozpuszczono, ale już na to, aby jej całkiem więcej nie zwoływać. Przewidywania te sprawdziły się. Oprócz garstki socyalnych demokratów, cała lewica (nawet socyalni rewolucyoniści) zachowuje się powściągliwie, a „kadeci“ siłą wypadków tworzą dziś centrum, zbliżone do „październikowców“, a nawet głosujące czasami z prawicą.

Co więcej, rząd zaczyna już prędzej, niż nawet sądziliśmy, kokietować z „nawróconymi“ kadetami i wstępować na drogę form parlamentarnych, przyjętych w państwach konstytucyjnych. Wystąpiło to na jaw przy sprawie „głodowej“. Przeciw radykalnym wnioskom lewicy wystąpił głośny trybun kadetów Rodiczew, a za jego wnioskiem kompromisowym oświadczył się Stołypin w imieniu rządu. Fakt ten słusznie przyjęła opinia rosyjska za wypadek doniosły, za wyraźną wskazówkę, że Stołypin, oceniając położenie i widząc zmianę zaszłą w łonie Dumy, pragnie szczerze wspólnie z nią pracować i zaprowadzić powoli w państwie porządki konstytucyjne.

Może to radość przedwczesna, ale bądź co bądź mająca już jakieś uzasadnienie. Jeżeli wierzyć pismu „Siewodnia“, to wniosek Rodiczewa i przystąpienie do niego Stołypina nie było dziełem przypadku, ale z góry powziętego układu. Byli ministrowie Kutler i Fieodorow, za pośrednictwem Wittego, zawiązali podobno nić porozumienia rządu z kadetami. Kadeci mieli się wyrzec swego projektu agrarnego, który głównie spowodował zgon pierwszej Dumy, odstąpić od programu równouprawnienia narodowości i przyrzec poparcie dla pożyczki zewnętrznej. Za tę cenę stronnictwo ich ma zostać ulegalizowane i czterej kadeci zasiądą na fotelach ministeryalnych. Prócz tego mają być zniesione sądy polowe i hr. Witte obejmie ministeryum skarbu.

Jeżeli to prawda, to panowie „kadeci“ aż nadto „zmądrzeli“. Zaparli się od razu wszystkiego, co ich odróżniało od październikowców. Że się zrzekli fantazyi agrarnej, to im tylko pochwalić należy, ale odstąpienie od programu „równouprawnienia narodowości“ (zapewne oznacza to program autonomiczny), to już wyparcie się zasad, zdrada przekonań i zdrada tych wszystkich, co w ich piękne słówka wierzyli. Nasi naiwni, którym się zdawało, że polityka to romans, którzy też agitowali za zupełnem poddaniem się naszej reprezentacyi woli i rozkazom kadetów, mają teraz dotkliwą nauczkę. Kadeci, tak samo, jak dawni liberali berlińscy i wiedeńscy, ogromnie nas kochali, póki im tego było potrzeba, tak samo też wyparli się nas, kiedy pomyśleli o przyjściu do władzy. Może niektórzy z nich szlachetniejsi, oburzą się na ten targ zasadami — podobno wystąpuje już z partyi Milukow — ale będą to tylko jednostki, ogół podąży z chęcią do ministeryalnego żłobu, choćby mu przyszło jeszcze coś ustąpić z „najświętszych przekonań“.

Naturalnie dla nas ten „zwrot“ kadetów, choć dawno przez ludzi trzeźwych przewidywany, jest przykrym, bo oddala owe nadzieje, któremi przez dwa lata żyliśmy. Ale niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Nadzieje te, w tych rozmiarach, jak je mieliśmy, były bądź co bądź iluzyami. Twarda rzeczywistość nie przedstawia się jednak tak źle, jak sądzą pesymiści. Naprzód lepiej, że jest Duma, aniżeli, aby jej nie było. Następnie można przewidywać, że centrum, zbudowane przez kadetów, nie będzie rozporządzało więcej jak 200 głosami. To mu nie zapewnia przewagi a dwadzieścia kilka głosów polskich może nieraz mieć znaczenie decydujące. Więc nie ze słówkami, nie z blagą, nie z frazesem, ale z konkretnymi propozycyami możemy się spotkać ze strony centrum i rządu. Zapewne, że te propozycye nie będą odpowiadały naszym nadziejom, ale mądry bierze, co dają, nie zrzekając się niczego. Droga będzie dalsza, ale może pewniejsza.

Usunął się też nam z drogi jeden z największych naszych wrogów. Ośmdziesięcioletni Pobiedonoscew poszedł po nagrodę(?) za kierunek reakcyjny, który był jego dziełem i który tak strasznie zaciążył na naszych losach. Wszystko to, co się dzieje od kilku lat w Rosyi, to walka przeciw systemowi Pobiedonoscewa. Ten wielki chorąży dawnego systemu nie miał w sobie krzty miłości chrześcijańskiej, choć tłomaczył dzieło Tomasza á Kempis „O naśladowaniu Chrystusa“. Był on twórcą tych wszystkich praw przeciw kościołowi katolickiemu, które nas gniotły w Królestwie i na Litwie, wywołując takie straszne epizody, jak krożański. Jego duch przyświecał Gringmutom, Kruszewanom i Puryszkiewiczom, moralnym sprawcom pogromów żydowskich.

Ten „środek przeciw żydom“ został świeżo opatentowany w Rumunii. Jest zapewne dużo przesady o zupełnem zniszczeniu miast, o pozbawieniu życia tysięcy żydów. Znamy aż nadto te wiarygodne doniesienia korespondentów. Ale to nie zmniejsza znaczenia faktu i jego dzikości. Tego rodzaju „porachunki“ z żydami są objawem wstrętnym, barbarzyńskim, dowodzącym, do jakiego stopnia ludom bałkańskim brak jeszcze kultury i etyki. W Bułgaryi, zabójstwo Petkowa a poprzednio Stambułowa, w Serbii zamordowanie Obrenowiczów i dojrzewający spisek przeciw Karadżordżewiczom, rzezie Greków w Bułgaryi i w Macedonii, to tylko głośniejsze etapy tych dzikich instynktów, które się wyładowują u ludów, obdarzonych w wieku XIX niepodległością. Prawdziwi przyjaciele wolności muszą się cieszyć, że ludy te zostały wyzwolone z pod jarzma tureckiego, ale mimowoli musi im przychodzić na myśl ta ironia losu, która pozbawia wolności narody kulturalne, która nawet dzieciom tych narodów nie przyznaje prawa uczenia się w macierzyńskim języku.

Wzmianka o korespondentach pozwala mi zająć się na chwilę p. Salomonem Biberem. Jest to ów mąż zacny, co w „Rieczy“, organie „kadetów“ wypisuje kalumnie na społeczeństwo polskie. Na turalnie kadeci, jedynie przez miłość do Polaków, wynaleźli sobie takiego korespondenta z Warszawy. Otóż ów szlachetny mąż jest zarazem członkiem redakcyi żargonowego pisma „Letzte Post“, która to redakcya mieści się w tym samym domu, co sklepik niejakiej pani Kaufmanowej. Pan Biber lubi słodycze, więc brał je u p. Kaufmanowej na... kredyt. Kiedy należytość za figi, makagigi i inne specyały wyniosła już 4 ruble, pani Kaufmanowa udała się do redakcyi „Letzte Post“ i prosiła p. Bibera o uregulowanie rachunku. Szlachetny „monitor“ naszego narodu wpadł w złość, kazał pani Kaufmanowej iść „do wszystkich dyabłów“, a kiedy ta polecenia jego usłuchać nie chciała, rzucił się na nią i... ugryzł ją w palec. Drobna ta przygoda rycerska męża zasad nie zasługiwałaby na podniesienie w naszej kronice tygodniowej, gdyby nie to, że p. Biber jest mężem zaufania kadetów i urabiał o nas opinię wśród „przyjaciół rosyjskich polskiego narodu“.

Mamy jeszcze do zanotowania inny skandal z Warszawy, ale to już skandal na wielką skalę. Niedopuszczona przez cenzurę na scenę warszawską „Balladyna“, ukazała się nareszcie w Teatrze Wielkim. Zdawałoby się, że dzień jej wystawienia będzie wielkim tryumfem poezyi narodowej, że tysiące czcicieli Słowackiego odejdzie od kasy z żalem, iż nie mogą zachwycać się najcudowniejszą baśnią tęczową, jaką poezya nasza wydała, najczarowniejszym językiem, jakim kiedykolwiek scena przemawiała do publiczności. I na pierwszem przedstawieniu „Balladyny“ połowa lóż była... pustą, a na drugiem przedstawieniu było w teatrze „przestronno“. A w cyrku na „atletach“ co dzień 2000 widzów rozkoszuje się popisami wydrwigroszów, a w Filharmonii pięć przedstawień „dziewczątek“ ze szkoły bosonogiej Izadory Duncan odbyło się w przepełnionej sali. Takiemu skandalowi wprost nie chciałoby się wierzyć, gdyby go nie zanotowali recenzenci teatralni, którzy „Balladynę“ przyjęli (z małym wyjątkiem) również chłodno i powściągliwie.

Nie chcąc kończyć kroniki skandalem, podzielę się z Czytelnikami naprzód przyjemną wiadomością, że w Austryi zaczyna być przepełnienie kapitałów. Bank austro-węgierski pożyczył coś koło 20,000.000 — Londynowi i Berlinowi. Jako nie finansista, nie będę się starał wytłomaczyć tego zjawiska, ale że jest ono nadzwyczajne, tego dowodzą artykuły wszystkich dzienników. Jesteśmy więc u progu wszelkiej szczęśliwości, bo gdzie jest „pieniędzy obfitość, tam i życia rozmaitość, a to jest podstawą szczęścia w stanie wolnym i zamęścia“, jak twierdził przed laty pewien poeta, nie tyle genialny, ile... okrutnie goły. Nie traćmy też nadziei, że Bank austro-węgierski, tak chętnie idący w pomoc bankom zagranicznym, nie zapomni o potrzebach krajów koronnych i pożyczy im kilkadziesiąt zbędnych milionów na... wybory.

Drugą przyjemną wiadomością jest, że w Austryi zgłosiło się już 3000 kandydatów na posłów do parlamentu. Cyfrę tę podała „Zeit“ czy „Neue freie Presse“. Wątpię jednak, czy jest ona dokładną, według bowiem moich własnych informacyj, w samej Galicyi liczba kandydatów wynosi dotychczas 1000 z górą. W samym Krakowie tych mężów opatrznościowych naliczyłem już 44. Mickiewiczowska ta cyfra z pewnością się nie zmniejszy a podniesie.

Trzecia wiadomość nietyle przyjemna, co ciekawa, dochodzi nas z Ameryki. Pięciu lekarzy stanu Massachusetss, „stojących u progu zawodowej sławy“, po wielu uciążliwych badaniach doszło do przekonania, że dusza ludzka waży $^1/_3$ — 1 łuta — tak więc na jeden funt idzie dusz ludzkich około 50. Reprezentant tych pięciu lekarzy, dr. Duncan Macdougali z Bostonu, objaśnia, w jaki sposób doszli oni do tego rezultatu. Oto na bardzo czułych wagach ustawiali łoża ludzi umierających i przekonali się, że po wyjściu duszy z ciała waga wskazywała ubytek $^1/_2$ — 1 łuta ciężaru. Wobec tego nie dziwmy się, że tylu „lekkoduchów“ spotykamy na świecie.

Minister dworak.

Stanowisko ministrów wogóle trudne jest i niewdzięczne, nawet w państwach konstytucyjnych, a cóż dopiero w państwach absolutnych, gdzie po za ich plecyma rządzą czynniki często im obce, a nawet wrogie. Jeżeli zaś niełatwo być ministrem, dajmy na to, spraw wewnętrznych, handlu itp.,



Minister dworak: Zmarły hr. Lamsdorff, były minister spraw zagranicznych w Rosyi.

cóż dopiero mówić o ministrze spraw zagranicznych, w którego „ressorcie“, zbiegają się niejako nici polityki jego krajn w odniesieniu do zagranicy.

Tej prawdy skutków doświadczył na sobie przed tygodniem zmarły w San Remo b. rosyjski minister spraw zagranicznych Włodzimierz Lamsdorff. Pochodził on z rodziny staroniemieckiej, która oddawna osiadła już w Rosyi (nazwisko jej brzmiało pierwotnie Lambsdorff), a z której pochodził wychowawca Mikołaja I., pradziada obecnego cesarza Mikołaja II.

Dzięki ujmującej powierzchowności, oraz wielkim protekcyom w sferach dworskich awansował Włodzimierz Mikołajewicz jak na drożdżach. Zaraz po ukończeniu studyów, t. j. w roku 1866, licząc zaledwie lat 21, został urzędnikiem w ministerstwie spraw zagranicznych, a w dziesięć lat później już był pierwszym sekretarzem tegoż ministerstwa. Zyskał sobie wielkie względy ówczesnego kanclerza państwa, ks. Gorczakowa, a przez niego wszedł w osobisty stosunek z cesarzem Ale-

ksandrem II. Dalej towarzyszył kanclerzowi na pamiętny kongres berliński. Cieszył się także względami cesarza Aleksandra III., towarzysząc mu do Skierniewic i Kromieryża.

Ze swymi bezpośrednimi przełożonymi, ministrami spraw zagranicznych: Giersem, Łobanowem i Murawiewem był w jak najlepszych stosunkach, aż wreszcie po śmierci tego ostatniego został sam ministrem w 1900 roku.

Po objęciu tego ważnego stanowiska utwierdził sojusz z Francyą, odbywszy podróż do Paryża w 1902 roku, poczem, w końcu tegoż roku odwiedził Sofię, Belgrad, a wreszcie Wiedeń. Owocem tej podróży było porozumienie obowiązujące do dziś tak Rosyę, jak i Austro Węgry, a znane pod nazwą układu w Mürszteg, i regulujące wpływ obu tych państw na sprawy bałkańskie.

To był ostatni sukces zmarłego ministra. Od tego czasu zaczęła blednąć jego gwiazda. Rosya już rzucała pożądliwem okiem na okolice dalekiego Wschodu. Przyszło do wojny rosyjsko japońskiej, której Lamsdorff był przeciwny. Wypadki wyrosły ponad jego głowę. W Petersburgu sfery dworskie prowadziły politykę na własną rękę; z ministrem spraw zagranicznych nikt się nie liczył. Wreszcie udzielono mu dymisyi w maju 1906 roku.

Jak każdy prawdziwy dworak, nie mógł znieść tej niełaski, wyniósł się za granicę i tam zmarł prawie zapomniany przez swych rodaków.



Pogromy w Rumunii: Ulica w Bordużeni, gdzie wszczęły się rozruchy.

Pogromy w Rumunii.

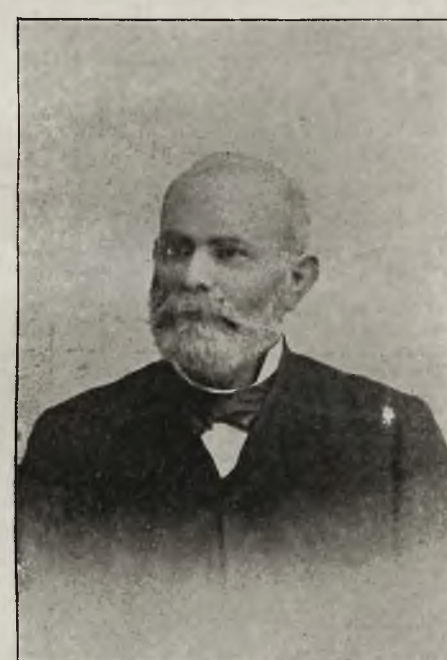
W czasie, gdy w sąsiedniej Bessarabii rozlegały się echa strasznych pogromów, które wywołał związek „istinno russkich ludzi“ za pomocą czarnych sotni — Rumunia była spokojną. Złe jednak ziarno i hasła nienawiści, rzucone ręką „białych“ terorystów w Bessarabii, tak bliskiej Rumunii ze względu na pochodzenie ludności i stosunki agrarne, nie mogły się nie rozejść w tym kraju także. Do tego przyłączyła się również śmiertelna nienawiść dwóch partyj politycznych rumuńskich: konserwatystów i liberałów, z których pierwsza jest obecnie u władzy, co oczywiście było solą w oku przeciwników. Skorzystali oni tedy z panujących wogóle w Rumunii smutnych stosunków ekonomicznych, a szczególniej w północnej jej części i przyłożyli ręki, aby sprawić ciężki kłopot konserwatystom.



Pogromy w Rumunii: Uciekinierzy rumuńscy w Ickanach.

Nie byłoby to jednak burzycielom spokoju politycznego się udało, gdyby nie rzeczywiście nader smutne stosunki agrarne, jakie w północnej Rumunii, w dawnej Mołdawii, panują. Olbrzymie przestrzenie urodzajnej, lecz źle zagospodarowanej ziemi należą do szlachty, która zamiast się nią zajmować, wypuszcza ją w dzierżawę przeważnie żydom. Ci zaś, płacąc niesłychanie wygórowane czynsze dzierżawne, starali się wszelkimi możliwemi i niemożliwemi sposobami wyciągnąć dla siebie zyski jak największe z ziemi.

Przytem zaznaczyć należy, iż udział ziemi chłopa rumuńskiego jest nadzwyczaj mały, tak, że chcąc wyżyć musiał z latyfundyów dzierżawić pojedyncze parcele, płacąc za nie tyle, co główny dzierżawca mu podyktował. Najsprytniejsi zaś i najzamożniejsi z dzierżawców skupiali w swem ręku jak najwięcej dzierżaw, tworząc formalne „trusty“ na wzór amerykańskich. Taki np. Markus Fischer (dajemy tu jego podobiznę) wraz ze swoimi familiantami, dzierżawił 153 400 hektarów!



Fot. J. Chrzanowski, Czerniowce.
Pogromy w Rumunii: Markus Fischer, największy dzierżawca ziemi w Mołdawii.

Jak w czasie takich masowych rozruchów wydarzać się zwykło, padają ofiarą winni i niewinni. Oprócz wielu dworów dzierżawionych przez żydów, zniszczono gruntownie i te, które zamieszkiwali sami właściciele Rumuni. Oprócz tego zaś „mob“ rumuński rzucił się po miasteczkach i miastach, jak Bordużeni, Botuszany itd., na mieszkańców żydów, którzy wprost nic wspólnego nie mieli ze sprawą agrarną, dopuszczając się tam rozboju, niszczenia własności ludności żydowskiej oraz wykroczeń przeciw wojsku, które wysłano celem zaprowadzenia spokoju.

Wobec tej sytuacyi, nic dziwnego, że przedstawiciele mocarstw, a przedewszystkiem poseł Austro-Węgier, poczynili w Bukareszcie bardzo



Fot. J. Chrzanowski w Suczawie.
Pogromy w Rumunii: Zbiegowie rumuńscy w Suczawie.



Fot. J. Chrzanowski z Suczawy.
Pogromy w Rumunii: Żandarmi austryaccy na rogatce granicznej w Ickanach.

energiczne przedstawienia celem obrony życia i mienia swoich poddanych i to tembardziej, że rozruchy gotowe przybrać charakter nietylko agrarny, ale mogą także przenieść się na całą Rumunię a nawet i na miasta, gdzie mieszka dużo cudzoziemców.

Rzecz prosta, iż żydowska ludność z Rumunii, steroryzowana w okropny sposób, ucieka masami



Zasłużony ziemianin: Śp. Stan. Chełchowski, były poseł do Dumy.

za granicę a mianowicie na Bukowinę, do najbliższego kraju, gdzie może szukać ocalenia.

Pierwsze ze zdjęć, jakie dziś podajemy, a dokonanych przez naszego specyalnego korespondenta, przedstawia zbiegów w pogranicznych Ickanach, drugie — austryackich żandarmów na granicy, broniących, aby ludność pograniczna bukowińska nie łączyła się z bandami rabujących chłopów rumuńskich, trzecie — widok miasteczka Bordużeni, czwarte wreszcie — zbiegów w Suczawie.

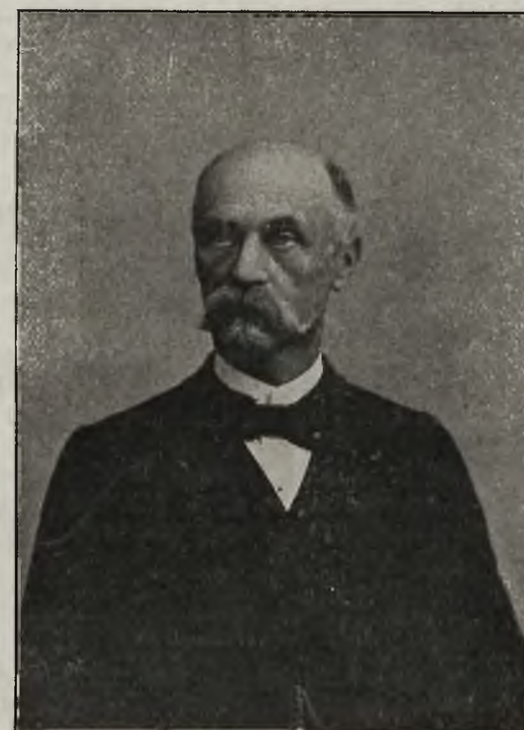
* * *

W chwili zamknięcia numeru nadchodzą straszne wieści z Rumunii. Pożar rewolucyjny obejmuje kraj cały, władze wojskowe okazują się zupełnie niedorosłemi do zadania, miasta Bukareszt i Jassy są zagrożone, a rozruchy agrarno antysemickie dosięgły już Dunaju.

Bawiący na kuracyi zagranicą po ciężkiej, świeżo przebytej chorobie, król Karol usunął dotychczasowego prezydenta ministrów Kantakuzena, z partyi konserwatywnej, a powierzył utworzenie nowego gabinetu Sturdzy, jednemu z przywódców liberałów, którzy postawili na swojem. Po zgliszczach, trupach i przez potoki krwi dobili się władzy! Koniec końców, pokazało się, że Rumunii, podobnie jak i innym państwom bałkańskim, dużo brakuje, aby mogły się liczyć do rzędu państw kulturalnych, które zabezpieczają dostatecznie całość życia i mienia swoich i obcych poddanych.

Zasłużony ziemianin.

W Ciechanowie zmarł niespodziewanie po jednodniowej chorobie śp. Stanisław Chełchowski, prezes założonego dopiero przed kilkunastu dniami w Warszawie Centralnego Towarzystwa rolniczego, a były poseł do pierwszej Dumy. Nieboszczyk należał do najwybitniejszych ziemian Królestwa Polskiego. Urodzony w roku 1866 w majątku rodzinnym Chojnowie w pow. przasnyskim, po ukończeniu wydziału matematyczno-przyrodniczego na uniwersytecie warszawskim, osiadł w majątku rodzinnym w 1888 r., by oddać się pracy na roli. Obok praktycznych zajęć gospodarskich, Chełchowski poświęcał się pracom na niwie wiedzy przyrodniczej i znany był jako stały współpracownik „Wszechświata", „Gazety rolniczej", „Encyklopedyi rolniczej". Żywy udział brał nieboszczyk w pracach Towarzystw rolniczych. W 1897 powołano go na wiceprezesa, a w 1899 na prezesa sekcyi rolnej. Na tem stanowisku, zarówno jak na stanowisku prezesa płockiego Tow. rolniczego zmarły rozwinął działalność bardzo owocną. Zeszłego roku współobywatele wybrali zasłużonego ziemianina posłem do pierwszej Dumy. W tym roku Chełchowski nie chciał już przyjąć mandatu do drugiego parlamentu rosyjskiego, uważając w tej chwili za najważniejsze zadanie swoje wprowadzenie w życie Centralnego Tow. rolniczego, którego dojście do skutku zawdzięczać należy głównie jemu właśnie. Słusznie Rada Towarzystwa obrała go prezesem tej ważnej instytucyi ziemiańskiej. Niestety zaledwie po kilkunastu dniach istnienia Towarzystwa śmierć nieubłagana zabrała dzielnego prezesa z grona towarzyszy prac obywatelskich.



Fot. J. Golcz.

Tajemnicze morderstwo: Śp. Stan. Bagniewski, urzędnik Tow. kred. ziem. w Warszawie.



Fot. W. Lis, Kraków.

Pożyteczna wycieczka: Absolwenci działu budowlanego państwowej szkoły przemysłowej ze Lwowa na wycieczce naukowej w Krakowie (pod arkadami Sukiennic).

Pożyteczna wycieczka.

Zaiste pożyteczną wycieczkę odbywają w tej chwili absolwenci działu budowlanego państwowej szkoły przemysłowej we Lwowie. Wybrali się oni pod kierunkiem profesora Tadeusza Mostowskiego w podróż dla zwiedzenia urządzeń, które ich z fachowego punktu widzenia obchodzą, jako młodych budowniczych. W programie tej naukowej wycieczki, jest obejrzenie godnych poznania urządzeń budowlanych Wiednia i Budapesztu.

Uczestnicy wycieczki zwiedzili na początek budowę portu w Nadbrzeziu, gdzie oprowadzał ich i objaśnień udzielał inżynier Jackowski. Następnie w Krakowie kierownik wycieczki, profesor Mostowski pokazywał swoim młodym towarzyszom co najciekawsze budowle.

Z Krakowa ruszyli uczestnicy wycieczki w dalszą drogę do Wiednia, poczem udadzą się do Budapesztu.

W czasie pobytu swego w naszem mieście absolwenci działu budowlanego fotografowali się wspólnie, a zbiorową tę grupę

zamieszczamy w niniejszym numerze. Są to pp.: Franciszek Błotnicki, W. Michał, J. Cetnarski, W. Wincenty, J. Kornhaber, A. Witman, St. Geneja, A. Floryan, wraz ze swym przewodnikiem prof. Mostowskim.

Tajemnicze morderstwo.

Przy ul. Chmielnej w Warszawie w domu pod l. 38 zajmował na 2 em piętrze od frontu większe mieszkanie urzędnik Tow. kredytowego ziemskiego, Stanisław Bagniewski, (dajemy jego podobiznę) samotny wdowiec, ojciec dorosłych dzieci, tworzących już własne domy. Dzieci zwracały mu nieraz uwagę, że w obecnych czasach nie przezornie jest trzymać służącej, która często przyjmuje u siebie gości ze sfer podejrzanych w okresie tak niesłychanego bandytyzmu. A właśnie w domu Bagniewskiego gospodarowała taka służąca, przystojna, 29 letnia Marya Kraczkówna, u której coraz to inni bywali adoratorzy. Przed kilku dniami znaleziono w mieszkaniu dwa trupy. W sypialni ujrzano w kałuży zakrzepłej krwi na łóżku zamordowanego sztyletem we śnie Bagniewskiego, naokół zaś wszędzie panował nieład i widocznie pokoje wszystkie były splądrowane. W kuchni leżała w łóżku przez pół obnażona służąca Maryanna, zamordowana w sposób podobny, jak jej pan, pchnięciem noża w serce.

Morderstwo zostało spełnione dla rabunku, a nie mógł tego spełnić nikt inny, jak któryś z kochanków Maryanny. Musiał wiedzieć, że Bagniewski jest człowiekiem zamożnym i w nocy skorzystał ze swej gościny w kuchni, zgładziwszy zaś gospodarza, postanowił pozbyć się i jedynego świadka zbrodni w osobie Maryanny. W sypialni zauważono brak złotego zegarka z dewizką złotą, oraz kosztownych pierścionków, z kredensu zginęły srebra.

Jaki widok przedstawił się policyi wchodzącej do zamkniętego mieszkania, nabiorą Czytelnicy pojęcia z dwóch załączonych fotografij. Jedna przedstawia sypialnię, gdzie w łóżku wśród pościeli spoczywa trup Bagniewskiego, na drugiej widzimy w kuchni na łóżku zwłoki zamordowanej służącej.

Wszystko wskazuje, że zbrodniarz musiał Maryannę naprzód w uścisku miłosnym ścisnąć za szyję, jak świadczą znaki palców, aż odebrał jej przytomność tym uściskiem, a wtedy utopił nóż w piersiach, powodując rychłą śmierć.

Nazajutrz policya śledcza uwięziła czterech domniemanych uczestników strasznego mordu, a przyjaciół Maryanny. Śledztwo w toku.



Tajemnicze morderstwo w Warszawie: Zwłoki służącej śp. Bagniewskiego, znalezione na jej łóżku w kuchni.

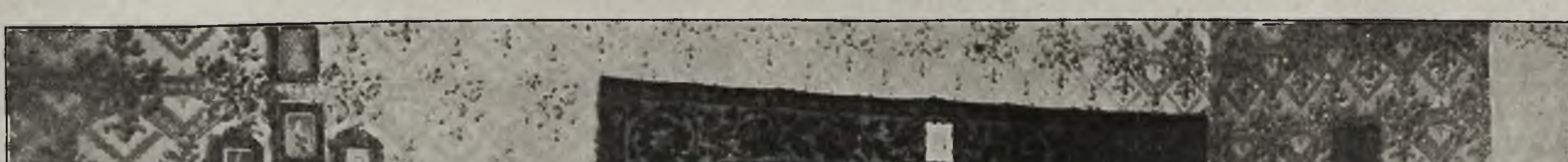
Pierwsza kobieta przy urnie wyborczej.

Wielki ruch feministyczny, zmierzający do absolutnego zrównania społecznych praw kobiety z prawami mężczyzny, wytknął sobie, między innemi, za cel zdobycia dla niej praw wyborczych do ciał reprezentacyjnych.

Jak dotąd, sprawa ta idzie opornie. Jesteśmy np. świadkami, jak zacięcie walczą w tym kierunku „sufrażystki" angielskie. Oprócz jednak grzywn pieniężnych, lub kar aresztu nałożonych na nie za naruszenie spokoju publicznego, nic więcej nie uzyskały dotąd. W położeniu o wiele korzystniejszem od innych kobiet Europy znajdują się kobiety w Finlandyi, tym malutkim kraju, który przecież swemi liberalnemi urządzeniami może służyć za przykład wielkim państwom europejskim.

Rycina, podana w dzisiejszym numerze, przedstawia kobietę finlandzką, gdy, jako pełnoprawna obywatelka swego kraju, oddaje głos na posła do Sejmu finlandzkiego. Tą pierwszą kobietą na świecie przy urnie wyborczej była żona senatora Kummen w Helsingforsie.

* * *



Tajemnicze morderstwo w Warszawie: Zwłoki śp. Stan. Bagniewskiego znalezione na łóżku w jego sypialni.



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Pierwsza kobieta przy urnie wyborczej: Żona senatora Kummen w Helsingforsie oddaje głos przy wyborach do sejmu finlandzkiego.

Jestto zaiste przykład godzien naśladowania. Wątpliwem jest jednak czy prędko zeń skorzystają inne kraje cywilizowane.

Strzały na Starem Mieście.

Dzielnica Staromiejska w Warszawie, gdzie przed świętami ruch uliczny jest wzmożony, zabrzmiała w sobotę hukiem wystrzałów. Ulicą Piwną szedł pomocnik komisarza z rewirowym i dwoma policyantami. Nagle trzech młodych ludzi idących z przeciwnej strony, na widok policyi zatrzymało się. Zwrócili na to uwagę policyanci i zbliżyli się do podejrzanych młodzieńców. Wtedy jeden z nich dobył rewolweru i skierował go do komisarza, gdy dwaj inni uciekli. Strzały chybiły, a ich sprawca rzucił się również do ucieczki przez Zapiecek na Stare Miasto i niezważając na tłumy ludzi, strzelał poza siebie z browninga. Z kilkunastu kul parę zraniło przechodniów. Pościg za uciekającym trwał dalej, aż dopiero na Podwalu zastąpili mu drogę policyanci. Na rogu ulicy Wąskiej młodzieniec widząc, że już nie ma sposobu ucieczki, wpakował sobie w czaszkę ostatnią kulę i zabił się. Był starannie ubrany, jak widać na fotografi załączonej, a zdjętej na miejscu wypadku zaraz po jego śmierci. W ubraniu nie znaleziono nic, coby wyjaśniło, kim był i jak się nazywał.

Echa napadu na pocztę.

Jakkolwiek poprzednio zaprzeczano, by pamiętny a krwawy napad na filię pocztową na rogu Wspólnej i Kruczej w Warszawie miał być dziełem partyi, a został spełniony przez prostych rabusiów, to jednak świeżo wyjaśniła się sprawa, iż do tego bandyckiego zamachu przyznaje się w zupełności organizacya bojowa. „Robotnik" zdaje w ostatnim numerze szczegółowo sprawę z prze-



Strzały na Starem Mieście: Nieznajomy bandyta, który zginął na Starem Mieście w Warszawie.

Z lwowskiego bruku.

Moje curiosum — Same uwolnienia. — Łatka jako poeta. — Logika naszych sądów. — Co powinno być zamiast kryminału. — Nie ma zbrodniarzy. — Bełkowski i Pelzowa. — Ozdoba kryminału. — Apel do władz. — Trzej waleczni. — W tynglu i kawiarni. — Order namiestnika. — Mowa Loewensteina — Wesołego Aleluja.

We Lwowie działo się w ubiegłym tygodniu bardzo wiele i będę zadowolony, jeśli bodaj część historyi ubiegłego tygodnia będę mógł zamknąć w tym liście i wypróżnić się bodaj w części z mego obowiązku. Ten ostatni zwrot jest może trochę fatalnym, ale spodziewam się, że pan (aż =) współpracownik jednego z tutejszych dzienników, przeczytawszy to „curiosum" napisze natychmiast list do czcigodnego profesora Małeckiego, otrzyma odpowiedź odwrotną pocztą i zrobi z tego fejleton, z którego dowiedzą się Czytelnicy, że tak mówić ani pisać nie należy, podobnie jak już się dowiedzieli, że nie należy pisać: porozumмy się, tylko: porozumiejmy się; nie szefc, tylko szewc; nie geńś tylko gęś; nie (= aż) tak jak podpisywał się dawniej, ale (aż =) ze znakiem równania na końcu i t. d.

Zanim jednak powstanie fejleton, wyjaśniający moje „curiosum", zabieram się do innych „curiosów" już wyjaśnionych, a mimo to niejasnych, ciemnych, niezrozumiałych, nie wytłomaczonych a jednak prawdziwych. Nie jest mianowicie wyjaśnionem, dlaczego wszystkie sądy przysięgłych w ostatnim tygodniu nałogowo uwalniały nałogowych zbrodniarzy, jak Feuersteina w Samborze, ks Kopytczaka w Tarnopolu i jeszcze kilku innych. Nie jest dalej wytłomaczonem, dlaczego — wobec takiego systemu sądów — na co męczą w policyi i sądzie śledczym ludzi zasługujących raczej na podziw dla ich sprytu i rozumu?

Okazało się bowiem, że p. Floryan Łatka, służący państwa Mikolaschów, jest tylko bardzo sprytnym łajdakiem i cały ten fantastyczny napad bandytów tylko obmyślił, ażeby skraść swoim służbodawcom pieniądze. Łatka jest nietylko sprytnym złodziejem, ale i poetą = wizyonerem. Już w areszcie śledczym miał objawienie, mianowicie Matka Boska radziła mu nie wydawać bandytów, a tylko powiedzieć, że to „jeden z pasażu" popełnił tę kradzież. Pytam jednak, na co męczą sądy biednego Łatkę, człowieka o tak wypróbowanym sprycie, skoro i tak go potem sąd przysięgłych uwolni.

Logika naszych sądów przysięgłych idzie następującą drogą: Nauka tj. kryminalistyka i medycyna uczą, że niema obecnie zbrodniarzy. Dawniej byli, ale już ich teraz niema. Wyginęli częścią, a częścią poprawili się pod wpływem umoralniającym ks. Stojałowskiego i innych opiekunów ludu. Nie ma więc zbrodniarzy, a są jeszcze tylko chorzy ludzie, którzy w przystępie obłędu popełniają nierozważne czyny, za co ich karać nie należy.

I owszem, należałoby ich leczyć. Ta humanitarna logika każe sądom uwalniać przestępców i zdaje mi się, że jesteśmy na fałszywej drodze, skoro utrzymujemy jeszcze tak przestarzałe instytucye, jak policya, sądy, prokuratorya i kryminał. Powinien istnieć jeden wielki krajowy Kulparków i tam powinno się wysyłać wszystkich tych, którzy popełnili jakieś głupstwo.

Tak samo niepotrzebnie maltretuje teraz sąd lwowski niejakiego pana Bełkowskiego, który jako urzędnik kolejowy, chciał wypróbować czujności konduktorów kolejowych i na próbę wypuścił pewną ilość podrobionych biletów kolejowych, ażeby się przekonać, czy konduktorzy poznają się na figlu. Konduktorzy nie poznali się, za co powinna ich spotkać należyta kara, ale zato dyrekcya kolei narobiła dużo hałasu i oddała p. Bełkowskiego do sądu.

Razem z nim poszła tam pani Zdenka Pelzowa, kobiecina młoda, elegancka i tak piękna, że zaprawdę szkoda trzymać ją w ukryciu. Jak długo kryminał kryminałem, nie widział jeszcze w swoich murach tak pięknej kobiety. Jest to więc prawdziwa ozdoba kryminału, a jeżeli teraz więźniowie zrobią dziurę w suficie, aby się dostać do celi pani Pelzowej, to będzie to zupełnie zrozumiałe i na miejscu. W imię więc ludzkości i sprawiedliwości, żądamy, by sąd lwowski bezzwłocznie wysłał p. Bełkowskiego na Kulparków, a panią Pelzową oddał narodowi. W przeciwnym razie powinni oboje urządzić ze sobą wiec i uchwalić strejk głodowy. Wtedy sąd na klęczkach błagać ich będzie, aby opuścili więzienie. Niech więc są się ma na baczności i wypuści czemprędzej oboje, jak długo jeszcze chcą iść dobrowolnie!

Poza temi sprawami, które już odbywają się w kryminale, mamy jeszcze we Lwowie inne, które już dojrzały do kryminału, choć rozgrywają się jeszcze gdzieindziej. Mówię o pewnej garstce dzielnych ludzi, którzy w innych warunkach i w innych czasach mogliby zasłynąć np. na polu walki a dziś zmuszeni są objawiać swoją bitność gdzie bądź, bodaj w kawiarni lub tinglu. Swoją drogą, że animusz przychodzi im dopiero wtedy, kiedy mają zalaną pałkę, ale też już wtedy znać, że to nie z byle kim sprawa. W tynglu n. p. zasiadają w loży piętrowej i zrzucają stamtąd żywego psa między publikę parterową, co wywołuje podziw, a nawet śmieją się same tynglówki. W kawiarni nocnej celują flaszką szampitrową w sam nos kasyerki i trafiają. Kelnerów mniejszych przerzucają przez bilard, do większych strzelają z browningów. Tak samo strzelają do mniej ważnych gości i do gospodarza, szerząc zamiłowanie do sportu browningowego.

Nie lubią tylko policyi, a na jej widok pierzchają, ale na szczęście widzi się u nas policyę rzadko tam, gdzie jej potrzeba. Naród zniewieściały nie umie ocenić należycie znaczenia tych zapasów nocnych i żali się na dzielnych młodzieńców, między którymi jest nawet jeden oficer. Śledztwo w toku.

Radosną nowiną naszą jest, że namiestnik hr. Potocki otrzymał order złotego runa za.. za... no, mniejsza o to za co, ale otrzymał i nosi go i kraj dumny jest słusznie i cieszy się.

Najwięcej zaś cieszymy się, że Sejm już jest zamknięty i skończyły się nasze nudy. Jedynym pięknym epizodem była mistrzowska mowa posła Loewensteina, który porwał tak bardzo wszystkich posłów, że nawet... nawet ks. Stojałowski i ks. Pastor głosowali za rezolucyą w sprawie żydowskiej. Takiego zwycięstwa sam Loewenstein się nie spodziewał! Ale też mówił, mówił! Tak wspaniale wykończonej do najdrobniejszych szczegółów mowy, nie pamięta sejm galicyjski. Technicznie skończona, uczuciowo potężna, pełna głębokich myśli i silnych akcentów mowa Loewensteina przekonała wszystkich już po raz nie wiem który, że p. Loewenstein jest najlepszym mówcą we Lwowie, a raczej w naszej połowie Galicyi, a ze wszystkich mówców galicyjskich tylko jedynego Daszyńskiego można obok niego postawić. Z góry można powinszować temu okręgowi, z którego p. Loewenstein wyjdzie posłem do parlamentu, jeśli notabene zechce tak mówić i działać, jak potrafi.

A że ja tak pięknie i tak długo mówić ni pisać nie potrafię, przeto mając dziś kochanym Czytelnikom życzyć wesołych, pogodnych świąt, czynię to krótko, wołając wszystkim: „Wesołego Aleluja!"

Kl.

biegu napadu, dodając, że „względy natury konspiracyjnej nie pozwoliły na natychmiastowe ogłoszenie akcyi, a czyni to dopiero dzisiaj, kiedy uczestnikom jej nic już nie zagraża“.

Zamieszczamy w niniejszym numerze podobiznę jednego z uczestników owego głośnego napadu, a



Echa napadu na pocztę: Zmarły z ran Stefan Kałdunek, uczestnik zamachu na pocztę na Wspólnej w Warszawie.

wybitnego członka organizacyi bojowej, 19 letniego Stefana Kałdunka, znanego w partyi pod pseudonimem Czesława. W czasie napadu śmiertelnie zraniony przez woźnego pocztowego, zmarł z ran w szpitalu św. Ducha, wśród strasznych cierpień.

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

13. **przełożył z włoskiego W. Ż. K.**

Ułożył Antoni Waranka, Kocmań.

— Niechże już moja pani przestanie się gniewać i pozwoli na wytłómaczenie. Często pozory.....

— Pan mnie chyba zrozumiałeś — przerwała Elena, wyprostowana, groźna, dumna—i wskazała mu drzwi.

Conte Alfonso zzieleniał. To go rozdrażniło. Widzi, że dawną metodą przez żarty, przymilania, nie utrzyma się na pozycyi, więc postanawia użyć brutalności, przemocy. Postanawia zrzucić maskę i bez maski opanować Elenę, a przynajmniej do uległości ją zmusić.

— Dość tej komedyi — zawołał groźnie.

— To nie komedya, mój panie — rzekła Elena, cokolwiek strwożona na widok wściekłego z gniewu Alfonsa — to rzeczywistość i prawda. Dziś jeszcze wyjeżdżam.

— Nie wyjedziesz.

— Kto mi zabroni?

— Ja!

— Jakiem prawem?

— Prawem mej woli. Ja tak chcę, abyś została i zostać musisz — mówił z wściekłością hrabia.

— Nie jestem niewolnicą. Zabraniam panu w ten sposób mówić do mnie. Teraz chcę być samą.

Wskazała ręką na drzwi, a drugą sięgnęła do dzwonka, aby zawezwać służbę. W tej chwili Alfons pochwycił jej ręce, i odprowadził od drzwi.

— Puszczaj. Czy to rozbój? Puść pan mnie natychmiast, bo wezwę pomocy.

— Nie puszczę. Musisz zostać przy mnie i zemną. Pomocy wzywać nie możesz, bo ci nie wolno. Abyś ze mną została, zmusza cię Salita Santa Nicola, wzywać pomocy zabrania ci Salita Santa Nicola. Rozumiesz mnie? Salita Santa Nicola!

Mówił zwolna, dobitnie, z siłą, z uśmiechem szyderczym na ustach, a z ogniem piekielnym w oczach. Elena zadrżała, lęk ją zdjął, energia opuszczać poczynała. Alfonso dostrzegł to, nabierał więc otuchy, wiary w skuteczność tej nowej metody brutalstwa i już bez maski, cynicznie, jak prawdziwy bandyta, pastwił się nad Eleną, aby ją złamać, zdeptać.

— Tak moja piękna pani! Salita Santa Nicola. To węzeł, który cię do mnie przykuwa na całe życie.

— Ale ja jestem niewinną. Ja nie zabiłam go...

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się szatańsko hrabia. Niewinna! A kto mnie wprowadził do sypialnego pokoju? Kto potem...

— Milcz milcz, na Boga!

— Kto? Oto piękna Elena Luidgarde. Jesteś współwinną; jesteś nielepszą odemnie, a może i gorszą, bo to był twój mąż...

— Zlituj się, milcz, nie mów, nie wspominaj! — błagała Elena, zalewając się łzami.

Alfonso tryumfował; widział, że zwycięża, chciał zadać cios ostatni.

— Jeżelibyś mnie porzuciła, cały świat dowiedziałby się o wszystkiem. Jabym zdołał uniknąć pościgu policyi, ale tybyś go nie uszła. Albo więzienie by cię czekało i śmierć na szafocie, albo samobójstwo.

Wpatrywał się w ofiarę swą bezlitośnie, nawet z zadowoleniem. Był już pewien, że zwyciężył, że mu się Elena nie wymknie. A ona? Jakże go nienawidziła w tej chwili, jak strasznie nim pogardzała? I to ten sam człowiek tak przemawia, co do niedawna usypiał jej sumienie, głuszył wszelkie poczucia winy, co ją sam nakłonił do tego, co się stało. I to ten sam człowiek, który był dla niej ideałem. Stanął bez maski i Elena widzi, że to brutalny bandyta. Straszne uczucia wstrętu, obrzydzenia ku Alfonsowi wyrastają w niej, rosną. Padła na szezlong i rozpaczliwe łkanie rozdzierało jej piersi.

Conte Alfonso postanowił raz jeszcze uderzyć pałką:

— Tak, tak, moja piękno Eleno Luidgarde! Rozdzielić się nie możemy, Salita Santa Nicola złączyła nas na zawsze. A teraz zostawiam cię samą, rozmyślaj nad tem, co ci powiedziałem i jutro bądź taką, jak dotychczas, a głupstwom i zazdrości daj spokój.

Wyszedł. Elena przeleżała do rana na szezlongu, nie rozebrana, osłabiona, na pół żywa.

XV.

Wilhelmina.

Było to właśnie na jeden dzień przed temi smutnemi scenami, gdy Aleksandrowicz przybył do Genewy. Zgłosił się do dyrekcyi policyi, przedstawił legitymacye swego rządu i prosił o pozwolenie podjęcia czynności policyjnych w pensyonacie Winterowej. Uzyskawszy je, wraz z przyrzeczeniem pomocy, gdyby się okazała potrzebną, udał się do pensyonatu.

Zakład ten znajdował się w obszernej willi, otoczonej ogrodem. U bramy był domek portyera. Tu się najpierw Aleksandrowicz zatrzymał i z portyerem rozpoczął rozmowę, dawszy mu sowity napiwek. Pokazał portyerowi spinkę z miniaturą i pytał, czy też tu niema podobnej panienki. Napiwkiem do rozmowy zachęcony portyer, rad też z przygody, że się nagadać może, przypatrzył się uważnie spince, wziął ją ku światłu, uśmiechnął się i zawołał:

— Ha, ha, ha, wszak to nasza Wilhelmina!

— A nie mylicie się?

— Ej, gdzieżby też. Przecież ja tu znam wszystkie panienki, tyle lat jestem portyerem, a ta ślicznotka jest tu rok trzeci, toż się jej miałem dość czasu napatrzyć.

— Jak się też nazywa ona?

— Ej, co tego, to już nie wiem, bo tu u nas wszystko po imieniu. Pani nasza, to jakby matka dla tych dzieci i zawsze nakazuje nauczycielkom, aby tylko po imieniu do panien się odzywały, jak by to było w rodzinie.

— Jakbym ja też mógł się przypatrzyć tej małej?

— O, to nie sztuka. Codzień wychodzą o trzeciej na spacer, to je pan wszystkie z mego okienka zobaczy, bo tędy na ulicę wychodzić muszą; innej drogi niema.

Jakoś przed drugą był Aleksandrowicz na stanowisku. Zaledwie stanął w okienku, dziewczęta zaczęły wychodzić parami; w trzeciej parze zoczył Wilhelminę, a portyer go trącił i szepnął:

— O, o, widzi pan, to ona.

Istotnie, zdumiewająco podobna, tylko bardziej rozwinięta; znać, że miniatura przed dwoma laty robiona. Nie było wątpliwości; Aleksandrowicz znalazł to, czego szukał. Dowiedziawszy się, że Winterowa o czwartej przyjmuje interesantów, wrócił o tej godzinie i kazał się anonsować. Bilet jego zawierał tylko imię i nazwisko „Iwan Aleksandrowicz“, więc Winterowa nie mogła się domyśleć w jakim celu przybywa, ani kim jest właściwie.

— Pani wybaczy, że zabiorę chwilę czasu prośbą o pozwolenia zobaczenia Wilhelminy.

— Ale której?

— Tej — i pokazał miniaturę.

— A z czyjegoż upoważnienia chce ją pan widzieć?

— Z upoważnienia jej ojca.

Winterowa spojrzała niedowierzająco, a nawet niechętnie na przybysza; on to spostrzegł i dodał pospiesznie:

— Chciałem ją tylko zobaczyć, pomówić z nią parę słów w obecności pani i nic więcej.

Winterowa nie pozbyła się niechętnego wyrazu twarzy, wpatrywała się w Aleksandrowicza, jakby się namyślała co czynić, wreszcie powiedziała:

— Ubolewam bardzo, że pańskiego życzenia spełnić nie mogę. U mnie jest taki regulamin, że panienki tylko w niedzielę odwiedzać można. Wyjątku dla nikogo nie czynię.

— Ależ ja tu jestem w przejeździe, do niedzieli czekać nie mogę i jedynie na kilka minut oderwałbym Wilhelminę od zajęć. Nie są to właściwie takie odwiedziny, o jakich regulamin myśli.

— Być może, iż pan ma słuszność co do tego, ale matka dziewczynki, oddając mi ją pod opiekę, wyraźnie zastrzegła sobie, abym nikomu nie pozwalała odwiedzać jej dziecka, kto nie będzie miał jej samej upoważnienia. Zechce pan przyznać, że mam obowiązek zastosować się do życzenia matki, która mi swe dziecko powierzyła.

Winterowa podniosła się z fotelu, na znak, że radaby skończyć rozmowę, jako już zbyteczną. Aleksandrowicz widzi, że tym sposobem celu nie dopnie i że trzeba we właściwym wystąpić charakterze, więc wstał również, dobył legitymacyę urzędową i piśmienne pozwolenie genewskiej dyrekcyi policyi i te dokumenta wręczył właścicielce pensyonatu.

— Teraz pani raczy zapewne zgodzić się na moją prośbę, bo dalsza odmowa ze strony pani, zniewoliłaby mnie do wezwania pomocy i wkroczenia do pensyonatu przemocą, coby dla zakładu pani, dla jego opinii było zapewne niemiłe i szkodliwe.

— Nie mogę opierać się urzędowej działalności, podjętej w imieniu prawa.

Aleksandrowicz udzielił potrzebnych wyjaśnień Winterowej o morderstwie w Salita Santa Nicola, o spince z miniaturą i o podejrzeniach, jakie się policyi nasuwać muszą.

— Jak się nazywa ta mała?

— Luidgarde. Wilhelmina Luidgarde.

— Kiedy ją pani oddała matka pod opiekę?

— Przed trzema laty.

— Możeby pani raczyła mi opowiedzieć wszystko to, co się wiązać może z oddaniem pani tego dziecka.

— Przed trzema laty przyszła tu jakaś elegancka dama z życzeniem, abym przyjęła jej czteroletnią córeczkę. Nie chciałam się na tu zgodzić, bo przyjmuję dzieci tylko w wieku szkolnym będące, ale na usilne prośby uczyniłam wyjątek, skoro matka ofiarowała się zapłacić koszta na utrzymanie osobnej wychowawczyni. Zostawiła mi z góry zapłatę całoroczną, zastrzegła sobie, abym nikomu nie mówiła o nazwisku dziecka, nikomu dziewczynki nie pokazywała, chyba, że od niej przyniesie piśmienne upoważnienie, najczulej pożegnała dziecko i wyjechała.

— Czy zostawiono pani metrykę dziecka?

— Nie. Wtedy nie była potrzebna.

— A nie wiadomo pani, czem jest matka dziewczynki?

— Nie wiem. Wygląda bardzo elegancko, z rozmowy poznać, że jest osobą wykształconą, dystyngowaną. Że jest bogatą poznać z tego, że nie szczędzi niczego dla dziecka, że płaci wszelkie rachunki i najpunktualniej.

— A gdzie mieszka?

— Właściwie wciąż podróżuje, ale ostatniemi czasy była w Genui.

— W Genui? Tak? A czy wiadomy pani jej adres genueński?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Detektyw w opałach.

Zdarzenie prawdziwe.

Dał się słyszeć lekki szmer, odgłos zgrabnych kroków przerwał ciszę, poruszyła się klamka drzwi naprzeciwko.

Mr. Patterson był zmuszony szybko działać. Za pomocą jednego potężnego susa znalazł się poza ciężką aksamitną portyerą. I w tym wypadku mógł Opatrzności dziękować, że jest tak chudy, bo fałdy miękkie i ciężkie owej portyery kryły go zupełnie Za pomocą ostrego scyzoryka zrobił w niej otwór, aby widzieć, co się dzieje w pokoju.

Weszła doń szybko smukła, imponującej postaci brunetka. Podkręciła światło elekryczne i gwałtownym ruchem zrzuciła kosztowne futro ze swych białych ramion. Stała teraz w całej swej wspaniałej postaci, ubrana w różową suknię z „crêpe de Chine“ i z bajecznej piękności naszyjnikiem perłowym.

— Aha! — pomyślał Mr. Patterson — to miss Ada ze swoim słynnym naszyjnikiem, mimowoli łykając ślinkę.

Pomimo jednak swego wspaniałego wyglądu, młoda dama wcale nie wydawała się być zadowoloną.... Stłumione łkanie wstrząsnęło jej alabastrową piersią, białe podługowate rączki szarpały nerwowo koronkową chusteczkę, a zęby, jak perły, wgryzały się aż do krwi we wargi koloru dojrzałej wiśni.... Szybkimi krokami przechadzała się po pokoju i zdawała się nad czemś bardzo ważnem rozmyślać.

W tem wzrok jej skierował się ku portyerze aksamitnej. Patterson przeląkł się naprawdę. Czyżby go spostrzegła?.... Ale nie — najwidoczniej zbyt była zajęta swojemi własnemi myślami.... Naraz uczyniła zwrot, jak gdyby chciała ten pokój opuścić. Tom Patterson odetchnął:

— Chwała Bogu! — wychodzi!

Zawcześnie jednak się cieszył. Nim do drzwi doszła, te się otwarły i ukazał się w nich młody człowiek, ubrany w strój balowy bez zarzutu.

— Więc co? — zapytał, przyciągając jej delikatną, wzniosłą postać ku sobie.

Uwolniła się z jego ramion i upadła na kanapę.

— Nic nie wiem, nic nie wiem! — Łzy przerywały jej mowę; obydwoma rękami zakryła twarz zapłakaną.

— Nie płacz — prosił młody człowiek — przecież ja nic złego nie chcę ci zrobić, nie chcę cię męczyć....

Szlochała dalej.... Naraz podniosła się jak tygrysica i zawisła na szyi swego ukochanego.

— Papa jest tyranem, nieprawdaż Ronaldzie? Dlaczego mamy czekać trzy lata, skoro jesteśmy pewni naszej miłości? Ale teraz nie będziemy na nic pytali — pójdziemy za głosem serc naszych. Co mnie to może obchodzić, czy będę bogatą lub ubogą. Niechaj ojciec trzyma sobie pieniądze — to mi jest obojętne, gdy wiem, że ciebie, najdroższy, posiadam!

On milczał, delikatnie pieszcząc jej delikatne rączęta. Wreszcie odezwał się dość niepewnym głosem:

— Nie wiem właściwie, co ci mam odpowiedzieć. Kocham cię tak bardzo i tak tęsknię do chwili, w której mógłbym cię nazwać moją żonusią, że naturalnie staję się niesprawiedliwym wobec każdego, co staje między mną a tobą. Ale naprawdę uważam postępowanie twego ojca wobec nas za okrutne i.....

W pół zdania urwał, objąwszy w swe silne ramiona wiotką kibić miss Ady.

Tomowi Patterson zaczynała być nudną ta idylla miłosna. Cofnął się z cichem westchnieniem od otworu w portyerze. Gdy znów po chwili doń przybliżył oko, ujrzał parę zakochaną, siedzącą na kanapie i zajętą żywą rozmową.

— Pójdę do swego pokoju i przebiorę się — słyszał, jak mówiła miss Ada. — A klejnoty moje, oczywiście, zabieram ze sobą. Są one kosztowne i stanowią moją osobistą własność. Z pewnością papa nie będzie chciał nawet słyszeć o zgodzie, wtedy mój naszyjnik i moje brylanty mogą nam oddać wielkie przysługi.

— Ta myśl dla mnie jest straszną! — rzekł młody człowiek.

Równie straszną wydała się ona Pattersonowi. Gdyby miss Ada miała zamiar uciec z domu rodzicielskiego bez klejnotów — zgoda! Niby przeciwko temu nie miał. Ale z klejnotami, to było niemożebnem, poprostu dlatego, że znaczna ich część tkwiła w jego kieszeniach.

Jeżeli miss Ada spostrzeże brak licznych etui na toalecie, to najniezawodniej wywietrzeją jej z głowy wszelkie zamiary miłosne — takie są bowiem kobiety — i podniesie alarm. Temu należy za wszelką cenę zapobiedz, bo wtedy nie może być nawet mowy o ratowaniu się ucieczką..... lecz co czynić?....

— Za pięć minut jestem z powrotem, rzekła miss Ada, wstając z kanapy i pospieszyła szybko ku drzwiom.

Teraz Tom Patterson musiał zacząć działać. Przybrawszy szlachetną postawę, wysunął się z poza portyery i zastąpił drogę młodej osobie.

— Stój pani! — zawołał, przeszywając ją surowym wzrokiem. Jeżeli pani nie chcesz, aby cała służba dowiedziała się o tem, co się tu dzieje, nie czyń hałasu, a i pan także, młody człowieku. Jestem detektywem, a znajduję się tu w chakterze urzędowym. Ojciec tej młodej osoby polecił mi strzedz was obojga pilnie i przeszkodzić ewentualnie ucieczce. Muszę spełnić swój obowiązek!

Młoda para w osłupieniu i ze strachem patrzyła na Toma.

— Jak? co? co pan mówi?.... — jąkając się pytała miss Ada.

— Przykro mi jest nad wyraz oświadczyć to pani, ale ojciec jej powziął podejrzenie — oświadczył z godnością Patterson. — Lecz i on pragnie uniknąć skandalu. Pożegnajcie się zatem — ale prędko, jeżeli śmiem prosić, a pan oddali się razem ze mną. Daję panu słowo, że sprawa zostanie w ten sposób załatwioną. Jesteśmy ludźmi honoru, nie będzie więcej mowy o tem zajściu.

Młody człowiek poczerwieniał ze złości.

— Niech mnie dyabli porwą, gdy panu posłucham — zawołał w pasyi. — Jeżeli pan Screw w ten sposób postępuje z nami, to my....

— Ja wiem, co nam czynić wypada! — przerwała mu miss Ada. — Będziemy tu czekać na ojca. Rozmówimy się z nim otwarcie. Pan także zostaniesz!

Była bardzo blada, wielkie jej oczy błyszczały, niby węgle. Postać zdawała się rosnąć. Usiadła znów na kanapie i przyciągnęła do siebie młodego człowieka, wskazawszy krzesło „detektywowi“.

Tomowi zrobiło się bardzo niewyraźnie pod stalowem spojrzeniem jej niebieskich oczu. Parę sekund namyślał się poczem, się odezwał:

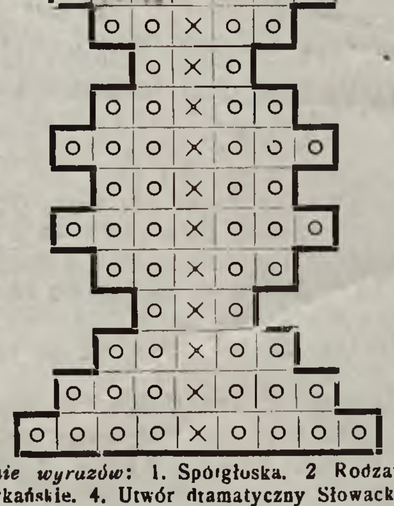
(Dokończenie nastąpi.)

Zagadki do nagrody

Zagadka.

Ułożył Alf ed Rotter.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły znane przysłowie polskie.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Rodzaj zębów. 3. Wyspy afrykańskie. 4. Utwór dramatyczny Słowackiego. 5. Ubiór księży przy mszy św. 6 Król zwierząt. 7. Sekta religijna w Północnej Ameryce. 8. Tragedya Göthego. 9. Niedawno zmarły publicysta polski, autor »Wieczorów florenckich«. 10. Pasterz górski. 11. Gatunek piwa. 12 Inaczej nabiał. 13. Imię żeńskie 1 . Owoc południowy. 15. Imię żydowskie. 16. Zwierzę przedpotopowe. 17. Zwierzę. 18. Instrument muzyczny. 19 Inaczej waryat. 2o. Nazwa poety polskiego z XIX. wieku.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek wyznaczamy, jako nagrodę 2 funty wybornych karmelków z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 11.

ZAGADKA.

M, wąż, Rodin, Gabryel, stypa, Apo, o. ale, Drawa, oka, p. Po. Lisa, Muszyna, orkan, pot, kadet, warzywa, Krosiński, Kongresówka.

Arytmogryf

K, Pad, Nizza, Eskimos, Luxemburg, Galicya, Hortensia Lourdes. Jutrzenka, Ameryka, Helgoland, Jajla, Draga, Ino.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: K. Ludwig Borysław. T. Domain Kołomyja, M. Świlkowa Rzeszów, F. Niepokój Krosno, K Hałada j Górki, E Bogdalska Koropuż, M. Arbesbauer Lwów B. Fuk Stanisławów, B Pisarski Lwów, E. i S. Bogusowie Luborg W. Żmigrodzka Lwów. Bazylewicz Jaktorów, A. Batkowski Lwów, J. Badura Rożdżeń.

Przez losowanie nagrodę otrzymała W. Żmigrodzka Lwów

Z półek księgarskich.

Wydawnictwo Macierzy Polskiej: Książeczka 87. **Antoni Sniegocki. Drobne gospodarstwo wiejskie**

Wzrastające codzienne wymagania na polu rolnictwa, które musi stawać się coraz bardziej intenzywnem, coraz bardziej opartem na podstawach nietylko doświadczenia, ale i nauki, czynią koniecznem informowania szerokich sfer drobnych rolników otem, jak należy gospodarować racyonalnie. Toteż z prawdziwem zadowoleniem wita się każdą gruntowną prace w tym zakresie, szczególniej gdy jest tak dobrze i praktycznie napisaną, jak praca p Śniegockiego, byłego nauczyciela w niegdyś słynnej Szkole rolniczej im. Haliny w Żabikowie.

Autor powyższego dziełka, znany z wielu prac z zakresu rolnictwa, podał w niem wskazówki, jasno i praktycznie wyłożone, w zakresie właściwego rolnictwa, jak i chowu zwierząt gospodarskich.

W części pierwszej mówi tedy o uprawie roli, nawozach, o uprawie najrozmaitszych zbóż, roślin i ziół, o sadach, o zbiorze nasion itd. w części drugiej zaś o hodowli koni, bydła rogatego, świń, owiec, drobiu i królików, o sposobach wyrabiania masła i sera dla domowego użytku i na sprzedaż.

Dziełko liczy 258 stronic a kosztuje tylko 1 K. 20 h. Najgoręcej możemy je polecić wszystkim, co czy z rolą, czy z ogrodem lub sadem mają do czynienia.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).